



*Mikrotyki*

PAWEŁ SOŁTYS

ZAMKNIĘTE



Paweł Sołtys

Mikrotyki



Wołowiec 2017

Rodzicom

## Znałem faceta

Znałem faceta, który jadł frytki ze śmietaną, wszyscy myślę, że to majonez, a on uśmiechał się wysmarowany tą śmietaną jak Święty Mikołaj na komisariacie i puszczał oko ponad ich głowami, w chmury. Jakby tylko one znały się na jego żartach, same zrobione ze śmietany, zbrudzone troszkę dymem z kominów. Znałem innego, który słodził pomidory, szczypał powietrze za tyłkami dziewczyn i umarł na cukrzycę. Znałem wielu facetów. Znałem Gruzina, który zakochał się w Ance, sprzedawczyni z warzywniaka na Grochowie. Przeprowadził się dla niej do Warszawy, a to było w latach siedemdziesiątych, wtedy to nie było flu--bździu zamienić Tbilisi na Kobielską. Śmiał się z polskich warzyw i z polskich mężczyzn. I te, i ci wydawały mu się za małe, zbyt mali, za słabo nasłonecznione, nasłonecznieni, za chude i chudzi w duszach i pestkach. A potem uśmiech mu spłóviał, jakby jedzenie bladziuchnych pomidorów i wątych kabaczków kładło się na nim mazowiecką mgłą. Śpiewał po cichu gruzińskie piosenki, palił albańskie papierosy i typował kochanków Anki spośród klientów warzywniaka. I bolało go, że nawet ci kochankowie to jacyś niedofaceci, no bo kto tam przychodził? Emeryci, renciści i nauczyciele z podstawówki przy Paca.

– Tu nawet nienawidzić nie ma kogo, brat, nie ma kogo opluć.

Ale w końcu wytypował i poszedł siedzieć, i nie wiem, co z nim, pewnie zdechł bez słońca i czaczy.

Drugiego męża Anki też znałem i widziałem, już wiele lat później, jak syczała do niego nachlanego na ławce przy skwerku:

– Żebyś ty choć trochę był z Tbilisi, choć jeden palec żebyś miał stamtąd, jeden włos!

Była już wtedy jak wąż – wychudła i coraz bardziej złotawa, bo na każdą zmarszczkę kupowała sobie nowy pierścionek albo kolczyki od ruskich na Stadionie.

Znałem faceta, który nie wychodził z domu, i gadałem z nim przez drzwi. Lubił, jak piłem piwo i opowiadałem mu przez szare, wysmarowane drzwi, jak smakuje. Najpierw pianka, uderzenie zimna i goryczy, potem bąbelkowany słodkawy środek i mętnowa, już ciepła końcówka, która woła zawsze: teraz pianka! teraz pianka! I tak się to toczy. Na tych drzwiach dzieciaki -napisały mu: „Wariat”. A to nie był wariat, tylko nie wychodził.

Znałem jego młodszego brata, który został grafem dzielnicy i który nie odróżniał pisku opon swojej beemki od pisku dziewczyny, a kiedy poczuł, że słońce zachodzi nad nim na niebiesko, urwał się gdzieś daleko. Może i do Tbilisi. Czy gdzieś.

Zanim wyjechał, poznał mnie kiedyś z facetem, który robił dowody osobiste, prawa jazdy i papiery samochodów. Ten wyglądał jak zegarmistrz i palił carmeny. Jak już było wiadomo, że carmeny znikną, to mu koleś zorganizowali tira tych carmenów, żeby mu starczyło do śmierci. I starczyło.

Znałem palących i niepalących, pijaków, abstynentów i tych, co na huśtawce. Tych omijaj, zawsze mają nóż albo kij bejsbolowy w bagażniku. Taki był Marian. Wielki jak hala na Wschodnim i rozkołysany jak pelargonie w wichurę. Raz pił, raz nie pił, wszywali

mu bezpieczniki i odtruwali. Ale prawdziwej trucizny nie udało się z niego wypompować. Nie wiedzieli po prostu, gdzie ona jest, szukali w złych miejscach. Marian handlował antykami i grał na koniach. Kiedy pił, próbował stawiać na wskazówki starych zegarów i sprzedawać turystom araby na padoku. Bił swoje kobiety i płakał, gdy ktoś mu przyniósł piękną szablę albo krzesło. Jemu dzieciaki napisały na drzwiach: „Pojob”. Bo to był pojob. Zapił się. Inny facet, który zawsze łąził z reklamówką, powiedział mi, że tego „Pojoba” to mu własne dzieci napisały.

Czy to prawda – nie wiem. Bo ten od reklamówki gadał więcej, niż trzeba, mówił więcej, niż jest, gęba mu się nie zamykała jak rybie, gdy ją z kanałku wyciągniesz za Wedlem. Był czas, że nocował na Centralnym. Nie wiem, czemu tak daleko, może tu miał za krzywo wtedy. W każdym razie on opowiedział mi historię o facecie, którego nie znałem. Na Centralnym zaczął się pojawiać jesienią. Chodził między bezdomnymi i się rozglądał, i przechodził tym zapachem, którego na raz nie zmyjesz. Myśleli, że tajniak, ale co mają tajniacy do takich ludzi? A zimą zaczął niektórym dawać forszę. Za nic, za frajer. Poszły plotki, że pewnie zboczeniec, jeden z wielu, którzy wtedy szukali na dworcu. Ale to też nie była prawda. Całą zimę dziewięćdziesiątego trzeciego tak przychodził. Temu dał dychę, tamtemu dwie, i szedł dalej. Ponoć nijaki. Urzędnik niskiego szczebla z drobnym wąsem i czarnym plecaczkiem. Potem się mówiło, że gość wygrał w totka i z jakiegoś porywu serca, obietnicy czy czegoś zaczął tę wygraną rozdawać. Przyjeżdżał tramwajem i buty miał eleganckie, robione na miarę. A resztę już normalną. Policja go parę razy zaczepiała, ale nie ma paragrafu na faceta, który daje po kilka złotych tym, co liżą dno. A w lutym trzech młodych wykoncypowało, że jak daje po dyszce albo dwóch, to w tym czarnym plecaku musi mieć całkiem sporo. A że heroiny nikt za darmo nie rozdaje, to go pod ruchomymi schodami wzięli w kółko. Scyzoryk mieli raczej na postrach, ale któryś się zagotował, czy może facet nie chciał oddać plecaka... Jak było, mój koleżka nie wiedział, ale widział go potem, jak leżał. Na boku, jakby chciał się przekić, jakby go zarazili bezdomni tym Centralnym. Dlaczego nie chciał oddać plecaka, skoro i tak rozdawał pieniądze? Tego żaden facet, jakiego znałem, nie wiedział. Przez megafony ogłoszono ekspres do Wrocławia, a tamten facet, którego nie znałem, umarł. I teraz, jak ci to opowiadam, to mogę się przyznać, że szkoda, że chciałbym znać tamtego faceta.

## Maciek i Mareczek

– Ten facet ma coś z kolanami – wymruczał Maciek.

– Ten facet mruczy jak kot! – wykrzyknął Mareczek.

I obaj mieli rację, nogi Mareczka były najprawdopodobniej z modeli ikarusów w skali 1:20. Z przegubami tam, gdzie inni mają kolana. Głupio byłoby go prosić, żeby zdjął spodnie, więc wierzyłem w te przeguby, bo to zawsze lepsze niż zwyrodnienia rzepek, łąkotki czy co tam może boleć między łydką a udem. A Maciek mruczał od roku.

– Gronkowiec – mruczał zadowolony z siebie, jakby mówił „gronostaj” i miał na sobie królewski płaszcz, a nie ten szary strzęp, który nazywał kurtką.

– To wszystko przez to, że tu nie było porządnego dada. Nie było porządnego dada w tym kraju! No sami powiedzcie! Było?! – Mareczek nakręcał się, rozbujany już jak na resorach.

– Wsiądź sobie w jakikolwiek autobus – odmruczał Maciek – tam sami Ukraińcy prowadzą. I ciągle gadają przez telefon, pewnie z żonami i dziewczynami we Lwowie czy w innym Łucku. To da, da, da, będziesz miał skolko ugodno, przeskok będziesz miał od razu przez połączenie awangardy: miasto, masa, maszyna i dada. – Odwrócił się do mnie. – Skąd ty wziąłeś faceta z takimi kolanami?

Co miało znaczyć: skąd wziąłeś faceta z takim krzykiem i pretensjami? Zrozumiałem go dobrze, ale nic nie odpowiedziałem, bo zamiast serca miałem zegarek, który stanął.

– Ty, daj mi telefon, muszę zadzwonić! – krzyknął Mareczek i od tego krzyknięcia wychyliło go na przegubach o czterdzieści pięć stopni.

– Nie masz swojego?

– Nie mam, ale ważną sprawę mam za to!

Maciek niechętnie wyjął, odblokował i podał. Za chwilę Mareczek darł się już do słuchawki, trzymając telefon przed sobą tak, że nie mógł usłyszeć odpowiedzi, zresztą chyba żadnej nie oczekiwał.

– Czy pan też uważa, że nie było dada w Polsce?! Co pan na to?! Na to przegapienie całkowite, co?! Na dziurę, z której nikt się nie może wygrzebać?! Tu jest tylko be--le--try--sty--ka! Słyszysz? Be--le--try--sty--ka, kurwa! – Potem nieco przytomniej spojrzął na wyświetlacz i półkrzyknął do nas: – Wyłączył się! Wyłączył się, wyobrażacie sobie?

– Ty, do kogo ty właściwie dzwoniłeś? – zaniepokoił się Maciek swoim murmurando, bo miał poważnych znajomych, poważnych naukowców w kontaktach, „ludzi, z których zdaniem się liczę”. – Do kogoś z mojej książki?! – Mruczący facet, który próbuje krzyczeć, brzmi jak zepsuta zasuwka, naraz warczy i skrzypi. – Kurwa, przegubowy człowieku, co ty masz z tymi kolanami?! Pokaż, do kogoś zadzwonił!

To już brzmiało jak ryk lwa puszczonego z taśmy trzy razy za szybko. Musiałem interweniować, choć zamiast serca miałem trzy nieruchome wskazówki.

– Patrzcie, jakieś dziewczyny.

Bo naprawdę szły przez ten parczek. Jaskrawe kolory biły z nich w światłach latarni. Jedna była różowsza, druga zieleńsza, ale to się mieszało w stukocie szpilek

i błyskach kolczyków wielkich jak bransoletki.

– Któraś z nich ma na imię Sandra – wymruczał Maciek. – Na bank Sandra.

– Założysz się?! – krzyknął Mareczek, który dopiero dziś poznał Maćka i nie wiedział, że nigdy, przenigdy nie wolno się zakładać z facetem, który mruczy i który trzy razy trafił piątkę w totka.

Ale Mareczek już podbiegł do odstawionych dziewczyn. Co w jego wykonaniu oznaczało serię skłonów przeplatanych chybotami.

– Idzie jak Dar Pomorza – powiedziałem, a wskazówka w miejscu mojego serca, ta najcieńsza, przesunęła się o sekundę i znowu stanęła.

– Skąd wiesz, zboczeńcu?! – krzyknęła pijana zdrowo, jak się okazało, Sandra i kopnęła Mareczka jakieś sześćdziesiąt centymetrów nad kolanami, w środek, że tak powiem, męzczyzny.

Teraz miałem dwóch leżąco--wijących się. Mareczek zwijał się, bo wiadomo, a Maciek ze śmiechu. Nie mógł przestać się śmiać. Mruczący facet, który nie może przestać się śmiać, brzmi jak star z urwanym tłumikiem dwie przecznice dalej. Mareczek też już przeszedł z pojękiwania w śmiech, tak jak przechodziło się w starych ikarusach z tylnej części do przedniej, wziął tylko przegub oddechu. Nawet ja się uśmiechałem, wziąłem łyk z piersiówki, ale żadna ze wskazówek, które miałem w miejscu serca, nie ruszyła się o milimetr.

Zresztą już nigdy się nie ruszyła, ale co ja wam będę opowiadał, ludzie miewają gorsze rzeczy w miejscu serc. Maciek z Mareczkiem potem bardzo się pokochali i łązili po mieście przynajmniej raz w tygodniu w dublecie mruczaco--przegubowym. Pewnie rok, może półtora. Bo to nie był gronkowiec, tylko Maciek nikomu nie powiedział. Widywałem potem Mareczka, ale starałem się go unikać. Za każdym razem, gdy chwiał się na tych swoich gumowych kolanach, zdawało mi się, że mruczy, że łązi za mną jakiś kot.

## Deszcz

Staliśmy na tej idiotycznej warcie bardziej jak strachy na wróble niż jacykolwiek strażnicy. Zmoknięte strachy, padało jak cholera. Deszcz przelatywał przez noc i przez słabe światło latarni z wysokim pomrukiem, jakby chłopiec przechodzący mutację udawał chrapanie ojca. Staliśmy, dotykając plecami ściany po obu stronach niemal całkiem rozwalonych drzwi. Tinez oparł jedną nogę o mokre cegły i gdyby stał w pełnym słońcu, wyglądałby jak bohater westernu. Deszcz miał słodkawy, kwietniowy smak, im częściej zlizywałem go z warg, tym bardziej marzyłem o gorzkim piwie.

– Ty, chodź, idziemy, co tu się może wydarzyć, kto może przyjść? W nocy, w deszcz, to bez sensu.

– Prosił, żeby popilnować.

– Może jeszcze wejdiesz i im poświecisz? Nauki udzielisz przedmałżeńskiej, pokażesz pozycje?

– Spierdalaj.

– No ja o tym właśnie. Spierdalajmy! Do tego nocnego na Bonifacego, piwa się napijemy.

Byliśmy oczywiście pijani, ale wciąż tak młodzi, że staliśmy niemal prosto. Nasze mózgi jeszcze nie umiały się odurzyć na całkiem, na ciemność i bełkot. Zawsze jakiś rejon kontaktował, czegoś chciał, coś obliczał, kombinował.

– Ty, Tinez, ja idę. Oni się tam tego, a my stoimy jak chuj na weselu. Wyjdą i co? Opowiedzą nam ze szczegółami? Obrazki obcasem w tym błocie narysują? Na razie!

Ale Tinez twardo stał. To znaczy – raczej miękko, ale niewzruszenie. Próbował odpalić mokrą zapalniczkę, ale tylko miarowy chrzęst z tego szedł. Rytmiczny niestety. Wiedziałem, że miał coś z Anką. Czy raczej – do niej coś. A najdokładniej to: za nią coś – spojrzenie, słowo niewypowiedziane, gest urywający się w połowie, jakby ktoś podciął ścięgna dłoni. No miał, ale nie miał nigdy śmiałości, nawet na bańce czy po dżointach. Oczy mu tylko błyszczały. Miał oczy wilka w miękkim ciele. Oczy bandyty rzucającego nożami w cyrku. Teraz tak samo, słabe strużki światła szukały tych jego ślepiów, tam były u siebie, tam się przeglądały. Andrzej też miał podobne, tylko węższe i pasujące do reszty. Bo zrobiony był z jednej cwanej sprężyny. Zawsze gotowy, nakręcony, uśmiechnięty tak na pół – do bicia albo do zabawy. A teraz był z Anką.

– Chłopaki popilnujcie chwilę, a my zobaczymy, czy coś tam się zmieniło.

Zaśmialiśmy się, wiadomo. Po minucie stania w deszczu już się nie uśmiechaliśmy. Ja, bo mokłem, Tinez ze swoich powodów. Kiedy poczułem, że plecy też mam całe mokre, wkurwiłem się ostatecznie.

– Idziesz?

Cisza, zgrzyt zalanej zapalniczki, jakby pocierać o siebie mokre skórzane paski.

– Ja idę.

I poszedłem. Może i płacząc trochę, bo robiłem w naszej trójce za wrażliwego i jakoś mi to stanie Tineza i rozbujany uśmiech Andrzeja wpełzały do oczu.

Stegny kończyły się wtedy jeszcze na wpół porzuconą wsią, jeszcze nie



wybudowali tych osiedli, które ciągną się dziś niemal do Powsina. I spod jednego z domów tej dogorywającej wsi szedłem właśnie. W środku szkło, połamane graty, których nie opłacało się wynieść, jak dla mnie, umiarkowanie romantycznie.

– Niektórym wystarcza – mruknąłem, wchodząc już między bloki.

Szedłem trochę na skos, wymijając szeregi dwunastopiętrowców, trochę chodnikami, trochę w błocie. Słyszałem, jak na szkolnym boisku ktoś tłucze butelki i śmieje się damsko--męsko, ale nie chciało mi się sprawdzać, komu się chce w taki deszcz. Nawet się nie zastanawiałem nad trasą, nogi pamiętały.

Koło Sardyńskiej przystanąłem. Tu bywało różnie, tu trzej bracia Grecy przesiadywali ze swoimi kolegami. Wiadomo – bieda, wiadomo – patologiczne rodziny, ale naprawdę niewiele cię to obchodzi, gdy leżysz zalany krwią, bo starszy Greku (tak się odmieniało) przylutował ci rakietą tenisową w potylicę. Więc nasłuchiwałem, ale osiedle raczej spało. Spali moi rodzice, sąsiedzi, sąsiedzi sąsiadów, spali rodzice moich kolegów. Spał ojciec Kaltowicza, który lubił go łąć kablem od żelazka, póki się nie przeliczył w dorastaniu syna i od tego czasu kulał, spały obie moje były dziewczyny, śniąc o mnie wszystko, co złe, spał Radzio Wariat dziecinnym snem, bo mimo lat czterdziestu miał nadal lat pięć. Spał Witek, który zachorował na jelita i nigdy nie wychodził, ale dzwonił do mnie i udawaliśmy, że wszystko jest w porządku, że dziewczyny czekają na nasze skinienie, że wyjedziemy do Norwegii i tam będzie jeszcze lepiej, spał Tomek, we śnie skacząc z dachu czteropiętrowca – na próbę, bo dwa lata później skoczy z najwyższego budynku przy Iberyjskiej (piętnaście bezsensownych pięter), we śnie lądował spokojnie jak sroka albo wróbel, spały siostry Miller, a każda z nich lądowała godzina po nocnej godzinie, żeby łamać serca naszym starszym kolegom, ładując ich w dzieci, dzikie emigracje i kosztowne rozwody. Najwyraźniej spali i bracia Grecy. Wyobraziłem sobie ich sny i przetrzeźwiałem.

Musiałem naprawdę się zamyślić, skoro nie zauważyłem wcześniej. Minąłem asfaltowe boisko do tenisa z ławkami zamiast siatki, kiosk totolotka, parking i zobaczyłem łunę. Paliło się. Moje piwo się pali! To pierwsza myśl. Ogień buchał z okien, blacha dziwacznie się gięła i osmaliała. Podbiegłem. Kątem oka, zdawało mi się, złowiłem trzy cienie uciekające w badyliadę na rogu Bonifacego i Sobieskiego. A to tak śpią bracia Grecy, pomyślałem i wtedy ją zauważyłem. Stała bez żadnego szłochu czy krzyków.

– Wszystko w porządku?

– Tak, nie. Oblali czymś i podpalili, a potem wrzucili jeszcze coś do środka. Ten... koktajl...

– Mołotowa.

– Mołotowa. Zdążyłam wybiec.

Obejrzałem ją uważniej niż kiedykolwiek. Miała swoje czterdzieści pięć lat, sweter, dzinsy i niby--góralskie kaptcie. I zmęczone oczy, w których ledwo odbijał się ogień. Nie zauważyłem krwi i nic się na niej nie tliło. Z daleka słyszałem już sygnały straży i pewnie policji. Uśmiechnąłem się jak przedostatni idiota i zawróciłem między bloki. Przedostatni, bo jednak ostatni byli braciszkwowie. W taki deszcz, z kobieciną w środku? W niczym to nie przypominało wymuszeń na cukierni czy -warzywniaku, który wybuchł tak sprytnie, że złożył się do środka. Daliby szefowie braciom bejsbolowego bobu, gdyby

ta babka została w środku. Później się okazało, że to był początek burzliwej i żałośnie krótkiej kariery Greków na niskich szczeblach warszawskich grup przestępczych. Byli za głupi. Najstarszy, by przeżyć, średni, by się nie wpięprzyć na dwadzieścia pięć, a najmłodszy na browna. Prawdę mówiąc, na browna za głupi okazali się dużo od nich mądrzejsi. Ale to trochę później.

Usiadłem na ławce przy Maltańskiej i patrzyłem, jak mieni się niebo od czerwonych i niebieskich błysków. Patrzyłem, jak zapalają się światła w mieszkaniach, jak pierwsi ciekawscy w niedopiętych szlafrokach -wylażą popatrzeć. Myślałem o tych trzech idiotach, którzy przyczaili się w krzakach, zamiast dać nogę na Sadybę. Myślałem o Tinezie nasłuchującym pod rozbebeszonym budynkiem: czy widzi łunę z takiej odległości, czy się o mnie martwi? E, nie, ma dwoje zmartwień za plecami, te zmartwienia chrapliwie oddychają, może przewracają jakieś badziewie... Ważniejsze, czy sprzedawczyni w swoim przerażeniu opowie o stałym kliencie, który dziwnym trafem był od razu na miejscu.

Jakoś nie umiałem się przejąć. Ani możliwymi kłopotami, ani kobietą, która przeżyła pewnie najgorszą noc w życiu, a przecież lubiłem ją jakoś. Przejmowałem się Tine-zem i Andrzejem, i Anką. Kto tam jest ślepy, a kto okrutny. I jak to się łatwo splata: wystarczy trochę wódki, trawy i uczuć. Próbowałem spojrzeć przez deszcz, przez wielką płytę, przez zmokłe krzaki i ceglana ścianę, przez ciemność i głowę Andrzeja – co tam jest w środku, co tam się wyrabia z tymi jego myślami w kształcie sztyletów. I tuż obok – w głowę Anki, otoczoną rozpuszczonymi włosami, w te niezrozumiałe dziewczynskie marzenia i plany. Czy tam jest na sztylety pułapka, która je uwięzi? Czy przeciwnie – pajęczyna pruta właśnie cichymi, krótkimi cięciami? Patrzyłem na Tineza, liczyłem mu papierosy w namokłej paczce – dwa. Liczyłem jego splnięcia przedrzeźniające deszcz, ale straciłem rachubę. A na koniec odsłoniła się przede mną przyszłość, z rdzawymi plamami i przycharami od petów, odsłoniła się na ułamek sekundy i uderzyła niczym kantem dłoni w grdykę, tak że zabrakło mi tchu, że zacząłem mieć nadzieję, że to zerwany film, że jutro nic nie będę pamiętał, że będę rzygał jak kot, żarł aspiryny, że będę słuchał Świata czarownic na cały regulator i pił kranówkę o smaku metalu i popiołu, aż się od niej znowu pochoruję.

Przypomniałem sobie, powoli oswajając się z myślą o powrocie do domu, jak pod koniec podstawówki Tinez wymienił się z Grubym. Zamienił swoją motorynkę na dwie niemieckie rakiety do ping--ponga. Siedzieliśmy w naszym klubie w krzakach. Wstawiliśmy tam ławkę i przebujaliśmy całe lato.

– Ty głupi jesteś, Tinez. Motorynkę za rakiety?

– Ma dorzucić jeszcze model samolotu na eter – odpowiedział bez przekonania.

– Ta, i dwa gupiki oraz glonojada!

– Ty, ale co miałem robić?

– Nie wymieniać się – odpowiedział nagle Andrzej i wiedzieliśmy, że on by się postawił.

Zebrałby wpierdol, jak każdy od Grubego, ale tłukłby się, póki mógłby stać. Taki był od dziecka, chudy i zawzięty, wycięty z leszczynowej witki.

– Ja to nawet lubię ping--ponga – uśmiechnął się Tinez – a jak zrobię tak – tu

przyłożył rakiетки do tyłu głowy, tak że półokrągłe części wystawały mu nad włosami – to wyglądam jak naspawana Myszka Miki.

## Ballada pijaka z baru Astoria

Albo kiedy człowiek chciałby być płytki jak wysychające rozlewiska w Kamieńczyku. Płyctki, żeby sięgnąć w siebie i żeby zaraz był opór – materia, życie, dno. A on sięga, sięga po coś i niespodziewanie zapada mu się ręka, ramię, i już jest cały w sobie, w ciemności, i się okazuje, że to już gdzie indziej, i mało widać, tylko się nasłuchuje, jak własna przeszłość i cudze coś tam szepczą, z czegoś chichoczą, nad czymś popłakują.

Graliśmy z kolegami w squasha, bo się okazało, że ten squash nie taki straszny i nie taki drogi. Jeździliśmy na Powiśle, bo to było na Powiślu, w ośrodku sportu, nieforemnym popeerelowskim budynku, i kosztowało tyle co cztery piwa. Tyle co cztery piwa kosztowało, żeby się upocić, poczuć galaretę w mięśniach. I to naprawdę cieszy, ten squash, to wyprucie, bo się wtedy człowiek zaczyna składać z bólu, zmęczenia i nadwyreżonych ścięgien, płyctki jest jak rozlewiska wyschłe latem w Kamieńczyku. Ale tam obok, obok tego ośrodka, mieszkała dawniej ciocia Stefania, do której chyba nikt nigdy nie powiedział: „Stefanio”. A to było parę tygodni po jej pogrzebie. I w tym zmęczeniu, w tym zbiciu mięśniowo--myślowym, kiedy, zdaje się, nie ma czasu na nic, nie ma myśli, właśnie wtedy mi się ciocia Stefania zwidywała. Taka, jaką ją znałem w osiemdziesiątych i później, ale też taka, o jakiej mi opowiadano, jaką siebie sama opowiadała, sześćioletnia, czołgająca się przez niemiecko--rosyjską granicę, bo znowu nie ma tego kraju – Polski – więc trzeba się czołgać, bo po drugiej stronie może nie zabiją albo zabiją mniej. I między tymi squashowymi sprintami, kroplami potu na szybie, eleganckimi wnętrzami z czerwoną linią autu zwidywał mi się też jej były mąż – eksmilicjant, za którego wychodziła dwa razy, bo lubiła żyć. Zwidywał mi się, jak siedzi sam w kuchni i chciałby chociaż zapalić, ale mu nie wolno, bo ma emerytowane milicyjne serce i granatowe bajpasy zamiast munduru. I krzyczałem do niego, żeby mi się nie zwidywał, żeby na tej płyciźnie nie stawał, bo chudy, wygląda jak czapla w garniturze, a on się smutno, prawie służbowo uśmiechał i szkliły mu się milicyjne za uważne oczy, a ja nie trafiałem w piłkę i wściekałem się na siebie. Przegrywałem seta za setem, a ciocia Stefania, do której i o której mówiło się dziwacznym zdrobnieniem, przekraczała granicę, tym razem rosyjsko--polską, ze swoim drugim mężem, choć właściwie jakby trzecim, którego nazwisko brzmiało jak imię małego pieska. Miała na sobie szary żakiecik i spojrzenie wielkoczapych ruskich pograniczników. I uśmiechała się do nich umalowana jak Maria Magdalena, i płynnym rosyjskim proponowała im wódkę, i trzęsła swoim internacjonalistycznym biustem, ale ostrożnie, nie zanadto, bo w biustonozu miała złote naszyjniki i pierścionki, a nawet wielki sygnet bez oka, który od potrząsania wybrzuszał na swoje podobieństwo usztywniony stanik i bluzkę. Gapi się teraz na niego podoficer, porównuje jedną pierś z drugą i coś mu nie gra, ale zaraz go klepie w ramię drugi mąż ciotki, który w dowodzie ma śmieszne drobniutkie nazwisko, wciska mu kromkę chleba z masłem i kawiolem, puszcza do niego oko i przepija, i upada Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, bo to rok osiemdziesiąty ósmy, mąż ciotki to biznesmen, a podoficer właściwie ma wszystko gdzieś, i trzęsie się biust, i półciepła wódka drapie

w gardło, jakby się połykało mały pierścionek, dziecięcy niemal, z sowiecką próbą 583.

A ja ociekam potem, bo dostałem znowu do trzech i już się podśmiechujki zaczynają, ale wiem, że gdyby zburzyć tę squashową ścianę przed nami i jeszcze mur ośrodka, to będzie widać okno, w oknie męża cioci Stefanii, jak stoi z herbatą i ponieważ nienawidzi biznesmena, który odebrał mu żonę, ale który zaraz umrze od stresu przekraczania granic, picia z dziwnymi kontrahentami, od strachu, czy jakieś tajwańskie podróbki dojadą do niedużego miasta pod Moskwą, czy nie, i czy ci, co wzięli, to byli ci, co mieli wziąć. I zamiast serwować, wychylając się w tył i w bok jak zawodowiec, patrzę w oczy pierwszego i ponownego męża cioci Stefanii i widzę w nich uporządkowane: nienawiść, miłość, zazdrość, żal – wszystko na swoich miejscach, jak gwiazdki i belki na milicyjnych pagonach, ale przez to wcale nie mniej mocne, nie słabiej przebijające szybę w oknie, ścianę popeerelowskiego ośrodka sportu i moje bijące sto osiemdziesiąt razy na minutę serce.

Ale grać trzeba, choć już wiadomo, że będę musiał stawiać, już na takim minusie jestem, że się nie odegram. Nie odpoczę i nie odbiegam tych spojrzeń w życie Stefanii i jej obu mężów. Inaczej niż ona, która zawsze znajdowała wyjście, punkt oparcia pod pantofelkiem choćby w najgorszej topieli, i znowu swoim dużym, mocnym biustem góruje ponad innymi, znowu próbuje, puka to tu, to tam, gdzieś przecież otworzą, gdzieś się da wcisnąć czarny czubek włoskiego buta. Choć się ma na głowie dzieci, jednego z mężów, matkę staruszkę z rosyjskim imieniem, bo przed wojną tam, gdzie się rodzili, wszystko było płynne i przechodziło z jednej wiary w drugą, z polskiego na nasz, z naszego na rosyjski, a potem na jidysz, bo z sąsiadami najłatwiej. I może to stąd ten pęd, te łokcie zawsze gotowe, z tej różności, którą sześć lat wojny starło niby, ale która w środku, w tym miejscu, dokąd się czasem sięga, została.

A ile było przy tym narzekania! Narzekanie, skarga, płacz – to było paliwo. Paliwo tankowane na rodzinnych uroczystościach, rozlewane hojnie i szeroko. Litanie nieszczęść, która chwilę później, już za drzwiami, „w świecie” przeradzała się w upór, w pomysłowość łamaną na cwaniactwo. Trzeba było jej przerwać, jeśli się nie chciało w tej benzynie utonąć.

– Ciociu, a przed wojną to gdzieście chodzili w niedzielę?

I ciocia Stefania, na którą – Bóg mi świadkiem – nikt tak nigdy nie powiedział, opowiadała. O rzece, o dzieciach, które nad rzeką zapominały, w jakim języku się modlą, bo do rzeki się modli skokami, piskiem i pluskiem, o księdzu pijącym z popem, a potem o tym, jak popa powiesili, a ksiądz się uchował, i jak dzieci przypominały sobie, w jakim języku się modlą, i repetowały karabiny albo wyjeżdżały gdzieś, gdzie nikt nie miał znaleźć ich ciał. Później kręciła głową, starannie ułożona fryzura gubiła dwa, trzy kosmyki, kręciła głową i mówiła:

– Ale to nie wróci. Ani dobre, ani złe nie wróci, i po co o tym?

Wracała do doczesnych smutków: jak ich oszukali, kto nie dowiózł, a kto po prostu zapomniał oddać. I przeliczała na smutno. Dolary na bony, bony na złotówki, złotówki na ruble. Wszystkie oficjalne i nieoficjalne kursy miała w tych łzach, które jej płynęły. Wyciągała chusteczkę, ocierała oczy, czarne smugi tuszu robiły z jej twarzy japońską teatralną maskę, i uśmiechała się, gotowa wyjść, zarabiać, pożyczać, organizować.

A ja przegrywałem ostatniego seta ostatniego meczu, zaraz nijaki biały zegar miał przesunąć swój chudszy palec na równą godzinę i powiedzieć: Dosyć, panowie. Wystarczy, niech przyjdzie tu ktoś, kto potrafi grać. Kto trafia w czarną gumową piłkę, a nie taki jak ten (to ja znaczy), któremu piłka się podwaja i zdaje mu się, że widzi oczy i potem twarz, i rozmazany makijaż, i słyszy tę rozmowę, wcale nie ostatnią, gdy ciocia Stefania mówiła z żalem:

– Ale kremacja jest tańsza. Tylko że ja nie chcę być palona, nie chcę popiołu, małego pudełka. Chcę normalnej trumny ze złotymi okuciami i żeby ubrali mnie w czarny żakiet i umalowali dokładnie, tak, że jak przyjdzie ten pierwszy, hi, hi, robak, to się nie będzie mógł nadziwić, jak kogoś tak eleganckiego można złożyć do ziemi. U nas nigdy nikogo nie spopielano, wszyscy w odświętnych ubraniach, odstawieni szli, hi, hi, na tę drogę!

A ja odpowiadałem, że po co takie obliczenia, niech ciocia opowie lepiej, jak z Bułgarii się przywoziło wina, a wiozło kryształ i trzeba było mieć zawsze coś specjalnego dla ichnich milicjantów, a jeszcze coś innego dla celników. Co to było? Papierosy amerykańskie, materiał na garnitur?

A ciocia nagle przypomniała sobie, jak ją oszukali kiedyś na tym winie i trzeba było je pić, bo nie chciał tego wziąć ten umówiony facet, bo to było jakieś, co nie idzie. I ona z drugim, a właściwie trzecim mężem, tym, który miał nazwisko drobniutkie i zabawne, jakby wymyśliło je psotne dziecko, siedzieli i całą zimę pili wytrawne bułgarskie wino, a on je słodził. Brał srebrną łyżeczkę, która kończyła się takim rzeźbieniem w kształcie kociego pyszczka, i sypał do kieliszka cukier, mieszał delikatnie, żeby nie dzwonić o kryształ, bo to nie kościół, tylko nieudany interes. Opowiadała o tym i trochę się śmiała, ale żal jej było, że umarł ten mąż, który miał zawsze tysiąc pomysłów i setkę planów, żal jej było tych lewów czy złotych, których nie zarobili, więc trochę też płakała i wiśniowy róż do policzków w zetknięciu z łzami wyglądał jak grube krople wina, a my słuchaliśmy i też się śmialiśmy, i było nam rozdzierająco smutno, i patrzyliśmy na nią najmocniej, jak się da, patrzyliśmy na nią, kiedy opowiadała, przeklinała, śmiała się i płakała, kiedy była szczęśliwa.

## Profesor Kruk

Nie wiadomo właściwie, jakim cudem mieli na to zgodę. A może wcale nie mieli? Gdy raz zapytałem o to barmankę, panią Kasię, tylko się uśmiechnęła. Całe jej osiemdziesięciokilowe ciało się uśmiechnęło – rozluźnieniem, w którego końcu oparła bujny biust na ladzie.

– Ja, proszę pana, śpiam tylko z mężczyznami de--cy--zyj--ny--mi!

I puściła do mnie tak perskie oko, jakby niedawno połknęła Kserksesa z Dariuszem I. Czyli nie wiadomo dlaczego, ale można tu było palić. Dym raz szary, raz niebieski – zależy od pory dnia – snuł się nad ośmioma stolikami, by w końcu położyć się u sufitu, nic sobie nie robiąc z pośępnie wiszącego, wiecznie zepsutego wentylatora. Pod tymi nikotynowymi cumulusami siedzieliśmy my – starzy bywalcy. Stokrotka to była knajpa na końcu dzielnicy i w końcu lat siedemdziesiątych urządzona, i do czasu, gdy zacząłem tam bywać, zmieniono niewiele. Jeszcze trzy lata temu siedzieliśmy w niej wieczorami, częściej pijąc, niż jedząc, rozmawiając, kłócąc się, wydmuchując wciąż nowe chmurzyska zawisające w górze. Było dość tanio, piwo i wódka były zimne, a o tatarze z cebulką i jajkiem profesor Kruk wygłosił raz poemat. Słowem – raj za witryną, czynne do dwudziestej drugiej, toaleta dla gości bezpłatna.

Zazwyczaj gdy wchodziłem, brydżowe, mocno już emeryckie kółko witało mnie skinieniami wistujących głów, a pani Kasia albo pani Dorota pytającym spojrzeniem, jakby nie wiedziały, że wezmę wątróbkę drobiową i duże piwo. Na jednym się oczywiście nie kończyło, a czasem, gdy Janek albo Romek Szklarz (często z żoną), albo i profesor Kruk mieli melodię, przechodziliśmy na mniejsze, ale cięższe naboje. Po pięćdziesiąt gram, choć to też od dawna było nielegalne i bar powinien lać czterdziestki, tak nam Unio Europejska dopomóż. Lubiłem te wieczory i tych pozornie nieskomplikowanych ludzi, którzy zwykle woleli pogadać, niż pomilczeć, a i milczeli jakoś tak po ludzku, nie robiąc z ciszy papieru ściernego. Po ośmiu godzinach pracy myłem się i zmieniałem koszulę, a potem szedłem wesolutki te trzy przecznice do miejsca bez działów i kierowników, do miejsca absolutnie wolnego od kadrowych.

Profesor Kruk nazywał się naprawdę inaczej, ale gdy się poznaliśmy i wypiliśmy pierwsze co nieco, tak się przedstawił:

– Naprawdę nazywam się ...yński, ale wszyscy mówią na mnie „profesor Kruk” ze względu na ciemne oczy i kruczoczarne włosy.

Był oczywiście biały jak gołąbek, ale nie oponowałem. Profesor był już wtedy, jak sam mawiał, doświadczonym emerytem i w dodatku naprawdę profesorem, emerytowanym oczywiście. Nie było sensu się spierać, zwłaszcza że z kolejnymi tygodniami stał mi się naprawdę bliski, niemal co dzień przeżywał niesamowite przygody i zdawał nam z nich wieczorami relacje. Trząsał się przy tym cały jak zeszłoroczna choinka, bo był z tych chudziutkich staruszków. Nie było go więcej niż pięćdziesiąt pięć kilo, wliczając łaskę zakończoną rzeźbioną głową lwa (o ile jej, jak zwykle, nie zapomniał). Romek Szklarz pięknie potrafił opowiadać o swoim rzemiośle i znał dwa tysiące kawałów. Janek, gdy popił, snuł stare gitowsko--złodziejskie opowieści,

a Marian – były milicjant – bez chamstwa ślicznie go wyśmiewał i dorzucał jakieś historie o zabójstwach i porwaniach z czasów poprzedniego reżimu, mrozące krew na podobieństwo wódki. Ale to profesora Kruka lubiłem najbardziej. Mówił dość szybko, ale zawsze składnie i jeśli jakaś historia mu się udała, pointował ją krótkim chłopięcym chichotem.

Pamiętam, to było wtedy, gdy pani Dorota umierała na raka jajników. „Kobiece sprawy”, mówiło się szeptem, uważając, by pani Kasia nie dosłyszała, bo o nią też się baliśmy, tak się lubiły. No, nie było nam wtedy do śmiechu, w ogóle rzadziej przychodziliśmy – wstyd przyznać, chyba żeby przeczekać... Tylko profesor nie zawodził, wnosił swoją siwą czuprynę do Stokrotki jak promień słońca i gadał:

– Byłem w antykwariacie na Szembeka poprzeczuc barachło i może coś kupić, coś na emerytowaną kieszeń, ale nic mnie nie zaciekało, dopiero wychodząc, patrzę, a tam tak jakoś na szaro jedna okładka do mnie mruga. Taka najnijsza, najbrzydsza panna na weselu, to capnąłem: Iwaszkiewicza opowiadania 1918–1953, drugi tom. Widać, że miała kiedyś dumną obwolotę, no ale pięćdziesiąty szósty rok wydania, to się przetarła i skruszyła. Ale tom ciągle poważny, nie tak jak teraz wszystko – na dmuchanym papierze, normalnie kilogram prozy obciążony szarym płótnem. Oglądam: „Jarosław Iwaszkiewicz” wytłoczone chyba z autografu i niżej cyferka – dwójka, też tłoczona i taka elegancko prosta, zgięty znak zapytania na podstawce. Na trzeciej stronie zdjęcie pisarza. Jarosław, jak zwykle, wytworny, pod krawatem i kapeluszem, w rozpiętym płaszczu. Patrzy gdzieś nad głowami maluczkich, bo to wysoki facet był, a w lewej dłoni trzyma bukiet białych kwiatków. Pewnie od czytelników, od notabli dostałby pokażniejszy. Od spojrzenia do spojrzenia to tłoczenie i kwiatki mnie namówiły. Sprzedawca włożył mi to w taką zwykłą foliówkę, chwyciłem ją za cienkie uszy i do tramwaju. Znaczący się tramwajem do państwa, do Stokrotki. Jadę sobie jak król etiopski, siedzę, przez okno zerkam, mało co pozdrawiałbym przechodniów – zawsze mi się tak po zakupach humor poprawia. Nagle słyszę, że awantura z przodu. Krzyki jakieś podpite, przekleństwa. Może i siedziałbym dalej na skajowym swoim tronie, ale stamtąd też kobiecy płacz. No to wiadomo, idę. A że tym razem akurat zapomniałem laski, a tramwaj jedzie i kołysze, to szedłem jak w cyrku, od poręczy do poręczy, jak człekokształtny. No ale jakoś doszedłem, z bliska widzę, że to bardziej dziewczyna. Zapłakana. I jakiś facet, choć też raczej chłopak. W tym trzęsieniu tramwajowym oceniłem go na trzy promile. I drze się na nią, już trochę bez słów, tak się zabełkotał. A ona mu coś odpowiada z łez, chyba też nie całkiem trzeźwa. A on ją nagle łup! Nie tak ręką w policzek, ale pięścią. Tyle że pijany, to w bark bardziej trafił. Zdębiałem nieco, coś mu próbuję klarować, żeby wysiadł, przewietrzył się, no żeby dał spokój dziewczynie, a ten do mnie: „Wyjebuj, dziadku!”. Co to za forma w ogóle jest – „wyjebuj”?! No ale forma formą, a on znowu się zamierza. A mi się ten Iwaszkiewicz kilo-gramowy w siatce o kolana obja... – Tu profesor Kruk wypił pół kieliszka i zakąsił śledziem.

– I co?! – zawołał Marian niecierpliwie.

– I ja go tym Iwaszkiewiczem w torebce walnąłem.

– Walnął pan profesor?

– No, może nawet go pieprzałem, bo mu głowa poleciała na bok jak wańka--



wstańka.

– No to zaiste pieprznął pan profesor!

– Hmm, wie pan, uczciwszy uszy, to ja go może i pierdolnąłem nawet, bo słaby w nogach się zrobił i usiadł na podłodze.

– To może go nawet jebnął pan profesor!

– No nie, ten rdzeń, przepraszam, morfem jest dla mnie jednak miłosny jakoś. Zdecydowanie go tym Iwaszkiewiczem nie jebnąłem.

Profesor uśmiechnął się smutno w jakieś wspomnienie morfemu, a może i wyrazistego, silnego za nimi sufiksu.

– I co, wstał?

– Nie wiem. Przestraszyłem się trochę i wysiadłem zaraz, bo przystanek był. Ale, drodzy państwo, kto by pomyślał, że prozą można tak sprawę rozwiązać? Przecież gdybym ja miał trzy tomy, bo to trzytomowe to czytelnikowskie wydanie było, to może i ubiłbym chłopa.

– Myśmy mydło albo bilon w pończosze nosili – dorzucił Janek i też wypił.

– A taką encyklopedią PWN, nawet jednotomową, toby można i Gołotę czy innego Kuleja znokautować! – ciągnął profesor. – Z dziełami wszystkimi wieszczą, tym wydaniem z trzydziestego trzeciego czy tam czwartego roku, to i wszystkim panom tutaj dałbym radę! Mimo że tam i mowa wiązana.

– Tylko może my też byśmy jakaś literaturę mieli, co?

– No tak, musiałoby być fair, czyli proporcjonalnie do wagi. Pan – to do mnie – w szranki by stawał, powiedzmy, z Tatarkiewicza Historią filozofii. Trzy tomy na trzy rundy! Pan Romek z kolei to już coś mniejszego, niech będzie Idiota, bez urazy, w tym wydaniu PIW--u z lat siedemdziesiątych, twarda oprawa!

– A ja?

– A pan, panie Janku, coś małego do takiej, proszę wybaczyć, łapy. Niech pomyślę... Do pana to by pasował Napój cienisty Leśmiana, jeszcze sprzed wojny.

– A dlaczego?

– Bo pan jesteś bezwiedny poeta, panie Janku. Poeta z łapami jak łopaty do chlebowego pieca.

Pogrzeb pani Doroty był na Woli. Na tym cmentarzu, który płynnie przechodzi z katolickiego w prawosławny, ot, w pewnym momencie krzyże obrastają w pochyłe poprzeczki. Pora była niecmentarna – kwiecień cały w pączkach i świeżych kwiatach, na ulicach młodych świerzbą pocałunki, a my chowamy panią Dorotę niewielkim tłumkiem. Jakoś wszystko mi się zdawało za szybko, za krótko ksiądz mówił, jacyś pospieszni byli grabarze, szumiały drzewa za wesoło. Po ceremonii mieliśmy jechać do Stokrotki, ale zaczęły się migania, nikt chyba nie czuł się na siłach siedzieć w osieroconej knajpie. Pojechaliśmy we dwóch z profesorem na Nowy Świat, jakby powiedzieli ci, co chodzą na prawosławny: za Carstwo Niebieskie pani Doroty wypić.

Tu już palić nie można było, choć przybytek też leciwy, cały w lustrach, piliśmy więc pomalutku we czterech, dwóch rozmawiających i dwóch bezgłośnych w odbiciach.

– Spodziewałem się, że to jednak ona będzie pić za spokój mojej duszy. Zresztą kto to może wiedzieć, czy te dusze nasze naprawdę nic nie robią, tylko marzą o spokoju?

Może właśnie dopiero tam, już po ciszy pogrzebu, zaczynają się wyczyny? Dusze przecież lekkie, mogą szybko gdzieś wpaść, nabroić i zwiać, kto je będzie łapał?

– Pan profesor jest wierzący jednak.

– E, za słabo, żeby o tym rozmawiać.

– Czyli ateusz?

– Nie, zbyt wierzący i za słabo wierzący. Tu trzeba by jakiejś stanowczości, a u mnie to raczej rozwodnione, wie pan, ja jestem rocznik trzydziesty ósmy, ja się napatrzyłem. Myśmy mieszkali tuż po wojnie z rodzicami i siostrą na przedmieściach, tam wtedy ludzie jeszcze dymili wojną, z której ja zresztą pamiętam mało co. Ale tę po-wojenną biedę, pokiereszowanych na wierzchu i w środku ludzi zapamiętałem. Jak pili na przykład, do końca, do zapomnienia. Był taki sąsiad, który wrócił z Rzeszy, z robót i zastał dom bez nikogo. Beż żony i dwójki dzieci. Chyba małych, tak się szeptało po kuchniach. Czy pomarli, czy zginęli, nie wiem, może mi mówiono... I on cały tydzień sobie żył, nie poznałbyś, handlował sprytnie, śmiał się, jakieś baby szczypał. Taki podstarzały warszawski chłopak, cwaniak z Grzesiukowej piosenki. A w niedzielę się zamykał i chlał. Zaglądałem parę razy przez okno, bo to tuż obok nas było: siedział, tępo patrzył przed siebie i wlewał jak w studnię. Nawet chyba nie płakał, na pewno tam krzyków nie było czy jakichś awantur. Łał w siebie, aż się obalał na stół, a ja stałem – mały dzieciak wtedy, i z tych opowieści, z tych szeptanek płakałem czasem za niego. To był jak na okolicę i czasy bogaty człowiek, tam może i jakieś nie do końca legalne handle szły, no, dzikie lata to przecież były. A jeszcze dokarmał ptaki. To znaczy miał swoje gołębie, bo wtedy na przedmieściach to prawie każdy facet miał, ale też sypał wróblom, kawkom, wronom. Wieształ nawet słoninę sikorkom. Słoninę w czterdziestym dziewiątym! Kiedyś, pamiętam, obudziłem się raniutko, wyszedłem do kibelka na podwórku, a pod jego oknem stał chudy facet i żuł tę słoninę. Nie wiem, czemu jej nie zerwał, stał na palcach w jakichś poarmijnych butach, trzymał tę słoninę i żuł, odgryzał po kęsie. Świt, szaro, koguty pieją, bo to bardziej wieś przecież była, a ten, pamiętam, jak strach na wróble, jak z patyków wyciągnięty, przeżuwa ten tłusty okrawek. A w oknie stał ten cwaniak warszawski, stał w podkoszulku i palił. Patrzyli sobie w oczy, ten żre, ten pali bez słowa, szyba ich tylko oddziela i prószy drobny śnieg.

Wypiliśmy jeszcze trochę pliski i wróciliśmy do domów. Profesor Kruk coraz rzadziej się pojawiał w Stokrotce, „zdrowie odradza”, mówił. Jakieś zmiany się tam zaczęły zresztą, wykruszała się gwardia cowieczorna i ja sam niemal przestałem bywać. Dzwoniliśmy czasem do siebie pogadać, gdzieś tam się umawialiśmy, ale częściej kończyło się na obietnicach niż spotkaniach. Tam, gdzie Stokrotka, dziś jest weterynarz. Profesor Kruk też od paru miesięcy sprawdza, jak może nahulać lekka zwinna dusza, po takim chudziutkim facecie pewnie jeszcze lżejsza od innych. Powinny się takich facetów rodzić setki, ale wiadomo, rodzą się przeważnie samolubne sukinsyny.

Daleko

1

Albo takie coś: duże zimna. Dwoje dorosłych ludzi jak otwarte lodówki. W siedemdziesiątym piątym się poženili, ale więcej niewiele. Z dziećmi, czyli nami, wyszło, jak wyszło. Ja się boję kichnąć, siostra z kolei jak kichnie, to pół dzielnicy chce jej wytrzeć nos albo się powiesić, albo na wszelki wypadek pójść siedzieć na dziesięć lat. Dziś na przykład chodzi na wysokich czerwonych obcasach i jak tylko wyszła z domu, ojciec powiedział: będę miał zawał przez tę dziewczynę. Ale nie miał. Matka za to szepnęła: ja oszaleję!

No i wiecie.

Siedzimy w mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty. Wyobrażam sobie monstrualny gramofon grający tę wielką płytę, nasze życie, mnie, siostrę na obcasach i tych dwoje przed telewizorem. Zostały jeszcze cztery raty do spłacenia. Zaciskam dłoń na plastikowej łyżeczce do jogurtu. Powinna pęknąć, ale jakoś się trzyma.

2

Idę. Tak jak chodzę właściwie od podstawówki. Biodrami odbijam się od lat i spojrzeń. Na obcasach, stawiając stopy niemal w jednej linii. Wiem, że każdy niezręczny krok to skromny ślub, albo i nawet nie to. Patrzą się z okien, patrzą z samochodów, patrzą, paląc papierosy i liście, dym im wpada do nosa, bezwiednie, dwoma strużkami, potem wypełnia mózgi. Wszyscy wiedzą, po co idę, wszyscy oprócz mnie. Z szarego opla astra macha na mnie jakaś dłoń, macha tak od dziesięciu lat, ktoś tu zapomniał machającej dłoni z sygnetem na palcu. Nie podchodzę, patrzę przed siebie, przez drzewa, karoserie i ściany bloków. Stukam o chodnik, jakby było drewniane, obite blachą serce. Kiedyś bardzo lubiałam książki i wstążki. Wiecie, żeby była opowieść i żeby łopotąło na wietrze. Ale tu coraz słabiej wieje, zabudowali już trawniki i place zabaw, już nie jesteśmy przedmieściami, metr kwadratowy drożeje.

3

Nikogo tak nie kochałem, nawet żony tuż przed ślubem. Nie lubię, kiedy wychodzi, ale przecież nie będę za nią łąził. W telewizji jest film, herbatę słodzę coraz mniej, niedługo będę wrzucał jeden kryształek cukru, tacy są ci lekarze. A zapasy kiedyś trenowało tu pół osiedla; tyle z tego, że teraz mam uszy jak kalafiory. Jak rozdarte radary. Słyszę, jak idzie do jakiegoś idioty. Córki nie powinny dorastać, nie powinny mieć szpilek i tej całej reszty. W siedemdziesiątych tego nie wiedziałem, gówniarze zazwyczaj nic nie wiedzą, choćby się nie wiem jak napinali. A medale wiszą w korytarzu, więcej odkurzania niż blas-ku. Powiedziałem, żeby mi je wrzucili do trumny jakby co, nie wiadomo po co

właściwie, no ale tak się mówi, żeby mówić coś.

## Pukanie w ramię

Ciemność puka w ramię. Znałem kiedyś człowieka, był wysoki, ale przygarbiony, w czasach, o których mówię, włosy i brwi miał już siwe, w czasach jego młodości ponoć były czarne. Nie byliśmy przyjaciółmi ani nawet bliskimi znajomymi. Widywaliśmy się od czasu do czasu, w tym raz na weselu jego córki. Z tego dnia jego obraz zapamiętałem. Uśmiechał się szeroko, jak to ojciec wydający jedynaczkę. Zęby miał chyba sztuczne. Idealne. Światło żyrandoli i błyski fleszy odbijały się od nich szybko i gładko, nie znajdowały szczelin. Piliśmy wódkę i musujące wino. Jedliśmy zupy, kotlety, ciasta i w końcu tort z lukrowymi figurkami. Trzymały się za parocentymetrowe ręce. Oczy obojga i guziki garnituru miniaturowego pana młodego były zrobione z takich samych czarnych kropek, welon maciupkiej panny młodej przypominał strzęp bandaża. Obaj najwyraźniej nie przepadaliśmy za tańcami, bo gdy się zaczęły, wpadliśmy na siebie przed wejściem do restauracji. Gorący czerwcowy wieczór. Spojrzeliśmy na siebie oczami załzawionymi od paru kieliszków i śmiechu, podałem mu ogień, pogratulowałem pięknej uroczystości, a on spytał półzartem, czy nie powinienem raczej rozpaczać. Słyszał, że podkochiwałem się w pannie młodej. W blasku latarenki zawieszanej nad wejściem błysnęły nasze zęby. Moje nie tak idealne jak jego, połknąłem trochę światła.

– Coś panu pokażę! – powiedział i sięgnął niezgrabnym ruchem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Zastanawiałem się, ile ma lat, na pewno był starszy od mojego ojca, chociaż dziewczyna tańcząca właśnie pierwszy weselny taniec była tylko rok ode mnie młodsza. W końcu wyciągnął coś i podał mi gestem konspiratora ze slapstickowego filmu. Była w tym jakaś przesada, szukałem w jego oczach błysku rozbawienia, ale znalazłem tylko zmęczenie i uwagę. Kartka. Kartka złożona na czworo, zwykła biała kartka w formacie, który nazywano listowym. Niezapisana, z wyjątkiem samotnej linijki przekreślonej rysą jednego ze zgięć. Ktoś, najpewniej on, eleganckim, staroświeckim charakterem pisma napisał:

Ukrywający się, przerażeni ludzie.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Pamiętam, że z jakiegoś powodu wydało mi się, że te kilka słów napisane jest szeptem, tak przeczytał je mój mózg, ten głos, który pozornie nie ma barwy ani wysokości. Mężczyzna po-częstował mnie francuskim papierosem, zapaliliśmy znowu.

– Wie pan, noszę parę takich przy sobie. W chwilach wielkiej radości, szczęścia, czy jak tam pan chce, wyjmuję jedną i czytam.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Tak trzeba.

Zgasił niedopałek czubkiem eleganckiego buta i wszedł do środka krokiem, który łapał już takt muzyki. By jakoś umieścić tę rozmowę w szeregu zwykłych zdarzeń, uznałem, że to jakaś odmiana umartwiania się, odprysk ojców pustyni na warszawskiej, umiarkowanie reprezentacyjnej ulicy. Ot, jeszcze jeden dziwak.

Wróciłem na salę i piłem ze wszystkimi, śpiewałem sto lat i resztę tych strasznych

pieśni, od których się trzeźwieje i można znowu wypić kieliszek. Na weselach nawet słabe głowy mocniej przez te zawodzenia, każdy to wie. A między łykiem zmrożonej wódki a gorącym, fałszującym „sto lat mało jeszcze” patrzyłem na ojca panny młodej. Pił połówki, a i to nie zawsze, zabawiał żonę i gości, rzucał żartobliwe uwagi, ale powoli rozumiałem, że gra. Oczywiście na takich imprezach wszyscy grają, na tym to polega, ale on grał podwójnie. Albo tak mi się zdawało z szeptanym zdaniem z jego kartki w głowie. Podwójny agent na weselu własnej córki. Nasze spojrzenia czasem się spotykały, bez uśmiechu, na ułamek sekundy obaj byliśmy gdzie indziej, w cichym i ciemnym miejscu. A potem któryś z przyjaciół klepał mnie w ramię i na-lewał albo wskazywał ruchem głowy jakąś dziewczynę na parkiecie, muzyka na powrót znajdowała drogę do uszu, alkohol rozpychał żyły, żyrandole niedyskretnie świeciły w wirujące dekolty.

Czas płynął i ten człowiek długo się z niego nie wynurzył. Niemal o nim zapomniałem. Jednak gdy wiele lat po tamtym ślubie niosłem kwiaty do szpitala na Madalińskiego, walcząc z kacem, a jednak tylko fragmentami zelówek dotykając chodnika, wtedy nagle stanęła mi przed oczami tamta kartka. Zatrzymałem się, potrząsnąłem głową jak po zbyt długim śnie. Chyba nawet splunąłem na chodnik, jakby wspomnienie dało się wypluć. Później w szpitalu, patrząc na żonę i syna, zapomniałem na zawsze.

Ludzkie „zawsze” jest kruche i pęka od uderzenia paznokciem w białą ladę baru Astoria w Uniwersamie Grochów. To był już nowy ustrój, ja miałem czterdzieści lat, a on był już bardzo stary. Stałem za kimś, czekając, aż barmanka naleje mu pięćdziesiątkę winiaku klubowego, a kiedy zniecierpliwiony stuknął kilkukrotnie w ladę, spojrzałem w lustro wiszące za barem. Poznałem go. Starego, pomarszczonego, odbitego w brudnawej tafli, z nalepką od johnniego walkera nad uchem. Musiałem mu się przypomnieć, wtedy przywitał się grzecznie i zaproponował wspólny stolik. Wziąłem kawę i usiadłem. Dłoń, którą ogrzewał koniakówkę, była niemal niebieska. Jakby żyły całkiem zastąpiły skórę. Tam, gdzie zostało jej trochę, była prawie przezroczysta, winiak przebijał przez nią, jak gdyby stary trzymał w dłoniach płomyk. Zapytałem o córkę. Była w Kanadzie z mężem i dziećmi, robiła karierę. Później bąknąłem coś o swoim rozwodzie, o uczelni, „sukcesach”. Potem chwilę milczeliśmy. W końcu przypominałem mu tamten wieczór. Pokiwał trzęsącą się głową, jakby zaprzeczał i przytakiwał równocześnie. Siwy kosmyk zsunął mu się na czoło.

– Nosi pan jeszcze te kartki? Na wypadek nagłego szczęścia, niespodziewanej albo i spodziewanej radości?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Tylko że, wie pan, to już raczej niepotrzebne. Starców nie spotykają nagłe radości. Ale noszę.

Sięgnął do kieszeni kurtki. Powoli odpinał guzik, palce go nie słuchały. Wreszcie wyciągnął dwa zwitki. To samo niedzisiejsze pismo. Eleganckie i jakoś ściśnięte. Brzuszek liter „d” i „p” jak zmarznięte baze na gałązce. Wciskające się w ścianę, którą jest kreska za nimi.

Zaginione dziecko.

A na drugiej:

Ponizający i ponizani.

– Wtedy właściwie mi pan nie odpowiedział dlaczego. Dlaczego nosi pan te kartki?  
Te lakoniczne nieszczęścia w kieszeniach?

Popatrzył na mnie uważnie, jakby zapamiętywał szczegóły.

– Bo tak trzeba. Bo ciemność, wie pan, puka w ramię. – Dopił i z trudem wstał. –  
Są pańskie, do widzenia.

I podreptał do wyjścia zgarbiony. Zapaliłem papierosa, a płonąca zapalną  
położyłem w szklanej popielniczce. Rzuciłem na nią oba zwitki. Paliły się bez ceregieli  
i cudów.

## Grudzień w obcym mieście

Szalki wagi. Na lewej to, co się zapomina, na prawej to, co się pamięta. Sama waga bardzo piękna, secesyjna, z bladymi od lat albo od początku porcelanowymi inkrustacjami. Oddziela zapomniane od zapamiętanego, chrobocąc mechanizmem i chybotając talerzykami, na których piętrzy się wazone.

Właśnie przeczytałem to opowiadanko Płatonowa o chłopcu i dziadku. Przeczytałem po raz drugi, po kilku-nastu latach. Więc cała menażeria przelazi z szali na szalę. A to przecież ruska wieś lat trzydziestych. Gramolą się świny, kury paskudzą na wymyślne zdobienia, kogut cudzy i kogut właściwy toczą swój koguci spór – skrzeki i pióra sypią się na dzieło niemieckich czy też holenderskich mistrzów. Idzie i chłopczyk, stopy delikatnie stawiając na niestabilność i dreszcz. Bo wiem przecież, że właśnie znowu coś zapomniałem, coś mi umyka, prawie nie zostawiając śladów. Idzie w końcu dziadek chłopca, wielbiciel snu i pieca, byłby on i z Tolstoja, gdyby nie rok siedemnasty, a potem rozkułaczanie. Prawdę powiedziawszy – ledwo zipie. Nie umrzyj mi, chłopie, pomiędzy szalami. Nie umrzyj mi jedną nogą w pamięci, a drugą w nieznanym. Mam wystarczająco dużo niepozałatwianych spraw ze wspomnieniami i wyobraźnią.

Już ciemno, choć to dopiero szósta. Grudzień w obcym mieście, hotel z lat pięćdziesiątych i cisza jak makiem zasiał. Narkotyczna cisza. Z okna widzę prawosławne seminarium. W szarym budynku pali się kilka świateł. Profil księdza – chyba wykładowcy – jak narysowany ogryzkiem ołówka. Broda, czapka i długi nos. Do wywąchiwania takich jak ja grzeszników, zaokiennych podglądaczy. „Wszyscy czasem komuś się śnimy”. Dokładnie takie zdanie bez wyraźnego powodu przychodzi mi do głowy. I zaraz za nim rwana i dziurawa opowieść o wykładowcy z seminarium prawosławnego, który nigdy nikomu się nie śnił.

I zaraz z szalki na szalę dystyngowanym, nieświeckim krokiem przechodzi Sylwan z Atosu. Ten, który strzelał się, pił i uwodził, aż mu się przyśniło, że połknął żmiję. A rankiem usłyszał głos Matki Bożej.

Jutro rano wyjeżdżam, papierosy mi nie smakują, powoli zasypiam sam w wystudzonym pokoju. Śni mi się wykładowca seminarium, który nigdy nikomu się nie śnił.



## Ćwierć

Liczył w myślach, patrząc przed siebie, ale nie widział ani ludzi, ani mebli, ani narzędzi, nie widział nawet lustra, w którym odbijała się ćwierć jego twarzy. Ta z okiem, zmarszczką nagle uciętą ramą i jednym (zupełnie niepoważnym) płatkim nosa. Liczył: czterdzieści dwa lata razy dwanaście miesięcy równa się pięćset cztery, podzielić przez trzy, przecież nie strzygłem się co miesiąc, to będzie sto sześćdziesiąt osiem. Minus dwa lata zapuszczania i dwa lata bezfryzjerskiego niemowlęctwa. Wychodziło mu, że strzyc się będzie sto pięćdziesiąty drugi raz, w przybliżeniu. Wprawa jest, pomyślał i ocknął się trochę, rozejrzał.

Wszystko tu było jak w latach siedemdziesiątych, od nożyczek, pędzli i grzebieni, przez podłogę z PCV, aż po gogusiów na zdjęciach, uśmiechających się spod świeżo (czterdzieści lat temu) wymodelowanych fryzur. Jakby ktoś im obiecał fiata 125p z Barbarą Brylską w środku. Obaj fryzjerzy wyglądali jak żywe zaprzeczenie legend o tym, kto garnie się do tego zawodu. Obaj z dużych kawałków, nie grubi, ale masywni. Ostrzyżeni niedawno, ale bez ekstrawagancji, grubopalcy, mrukliwi. Z uśmiechami skleconymi z innych grymasów, uważni i jakby nieobecni zarazem. Podobali mu się, wyglądali na rzeźników ukrywających głęboko czułe serca, z tych, co to pobijają do nieprzytomności za skrzywdzenie niewielkiego zwierzęcia. Kota, chomika, a bodaj i świerszcza. Tylko muzyka była współczesna, grało Radio Zet. Utwory, które nie przeszkadzają prowadzić samochodu, powinno się je sprzedawać z olejem silnikowym i hot dogami na stacji. Zresztą chyba się sprzedaje.

Ten nieco grubszy wyprostował się nagle i rzucił:

– Proszę bardzo, głowa skończona.

To też było ładne, rzeczowe i poetyckie zarazem. Chudszy oderwał się na chwilę od swojego klienta i wskazując nożyczkami jak palcem, skomentował:

– Uszy całe, bardzo ładnie.

Niepozorny facet, na oko bankowiec średniego szczebla, próbował się zaśmiać, ale prowadzący audycję zaczął akurat wykrzykiwać o jakiejś wygranej, kalecząc składnię i intonację, więc śmiech faceta zlepił się z tymi wrzaskami, sfarfocłował i postrzępił. Obaj fryzjerzy skrzywili się samymi kącikami ust, jak przy zimnej kawie. Facet się zmieszał, zapłacił i wyszedł.

– Zapraszam – powiedział grubszy i Maciek usiadł w fotelu.

Pozwolił się owinąć papierem wokół szyi i przykryć śliską narzutą, spojrzął w lustro. Wyglądam jak biskup jakiejś plastikowej religii, recyklingowej w dodatku, powinni mi jeszcze dać pastorał z rury od odkurzacza i tiarę z korony Burger Kinga.

– Jak ostrzyć?

– Właściwie to tak jak pana.

– Dobrze.

I zaczął, bez specjalnej delikatności, bardziej jak chirurg, który nie chce sprawić bólu, ale wie, że stanowczość i precyzja mogą zaważyć na powodzeniu operacji. Mała gęstość – pomyślał nagle Maciek – wszystko tu jest niemal przezroczyste, przewiewne,

można wsadzić palec nie tylko w oko nożyczek, ale i w ciało fryzjera, w lustro, w niby--drewnianą poręcz fotela, zawsze na wylot.

Tylko wspomnienia są odpowiednio gęste, mazoliste, przedziera się przez nie człowiek jak przez błoto, przez ciężkie brązy i lepkie szarości. W tej gęstwinie nie ma fryzjerów, jest tylko Anka, uczennica szkoły fryzjerskiej. Szczupła, ale zgrabna, w ogóle ładna, na czwórkę w szkolnej skali, poza ćwiercią twarzy. Długie nogi, wąskie, ale nie chłopiące biodra, brzuch płaski jak deska do krojenia, drobny biust, szyja może nie łabędzia, ale nie gorsza od innych, a szyi dotykają końcówki kręconych brązowych włosów. Brązowe są też oczy, tylko ciemniejsze i jakby gęste właśnie, nos i uszy ma Anka małe, trochę porcelanowe, i do tego odrobinę za wysokie czoło, ale kto by na to zwracał uwagę, kiedy te włosy wspaniały wokół, jakby się wierciły, niepokoiły, łapiąc refleksy światła, aż chciałoby się na parę sekund oślepnąć i krzyczeć z (udawanego) przestachu w te małe uszy, w oczy, które się będzie pamiętało. I tylko ta ćwierć twarzy. Ile to procent całej Anki? Sześć, osiem – chyba nie więcej. Tam wszystko poszło źle: rozszczepiona górna warga i jakby skręcający wiecznie w lewo podbródek albo jak rysunek podbródka na wiecznym wietrze. Mówi się: zdeformowana. A ona była raczej właśnie formą, ta część od nosa po koniec brody, oddzielna rzeźba, twór dolepiony, i w nim zęby – też nie tak jak zwykle, tylko jak spanikowany tłum: jeden na drugim, a trzeci wygląda zza nich trwoźnie, wypatrując niebezpieczeństwa. Skłębione, przerażone białe ludziki. Nigdy się nie dowiedział, od czego to. Jaka choroba, złośliwy gen czy dziecięcy wypadek zrobiły z całkiem ładnej dziewczyny całkiem ładną dziewczynę z tą formą zamiast ćwiartki twarzy.

Jakoś sobie radziła. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie, śmiała się z żartów, z ksywek mniejszego i większego kalibru. W podstawówce – trochę chłopczyca, grała z Maćkiem i innymi w piłkę, rzucała kamieniami, piła piwo, klęła, nieco sepleniąc. Po podstawówce widywał ją rzadziej, ale przecież mieszkała dwie ulice dalej, chodziła na imprezy, przesiadywała na boisku – jak wszyscy.

Opalenie lufki – znana chyba tylko w Polsce metoda przyjmowania konopi indyjskich. Po tygodniu palenia w fifce jej ścianki stawały się czarnobrazowe, coś w rodzaju haszyszu osadzało się wewnątrz, i gdy skończył się materiał i forsa – opalano lufkę.

Więc trzecia, wpół do czwartej, z półsetki ludzi zostało może osiem osób, z czego dwie zajęte sobą w zaryglowanym krzesłem małym pokoju, a czwórka na podłodze. Śpią, wyglądają na martwych.

– Mam do opalenia lufkę.

– A ja browary skitrane w pralce.

Maciek podgrzewał zapalniczką szklaną fifkę, którą przez szmatkę trzymała Anka. Teraz trzeba tylko delikatnie wciągnąć dym, broń Boże nie przytykając ust. Wzięli po dwa machy. Rozkaszała się i załzawiła.

– Dobrze wikła na zakrztuśce.

– Co?

– Dobrze wikła na zakrztuśce.

– No tak. Ładne. – Śmiała się nisko i nagle, jakby zawstydzona, zasłoniła formę.

– Mi to nigdy nie przeszkadzało.

Cisza.

– Sorry, powiedziałem, zanim pomyślałem, dżointy...

– Nie ma sprawy. Wiem. Wiem, że ci nie przeszkadzało. Pamiętam, że tylko ty i Olgierd mówiliście do mnie „Anka”.

– Naprawdę? Tak wszystko pamiętasz?

– Naprawdę. Tak, pamiętam wszystko.

– No tak. Ty, a dlaczego właściwie szkoła fryzjerska? Ty się nieźle uczyłaś... To znaczy... nie obraź się...

– Bo u fryzjera – przerwała, patrząc mu prosto w oczy – wszyscy martwią się, jak sami wyglądają. Jak będą wyglądać.

– A wiesz, twoje włosy ciągle coś robią, ciągle się te loki wkurzają, miotają.

– Poeta! – Śmiała się teraz głośniej.

– I tyłek masz świetny.

– Poeta świnia.

– No tak.

Pili, trochę się jej przyglądał. Była już nieźle zrobiona, on też postanowił na razie nie próbować wstawać.

– Dzięki, że tego nie powiedziałeś.

– Czego?

– „Poza TYM jesteś bardzo ładna”, to zazwyczaj mi mówią, nawet moja matka tak mówi i ojciec mówił, póki żył.

Cisza.

– Jak to jest?

– Chujowo.

– No tak.

– Teraz powinieneś spytać o możliwości. Odpowiem od razu: można w Niemczech, za kasę, której nie mają ani moi, ani twoi starzy, a i tak nie ma pewności, czy się uda, albo...

– Daj spokój. Jeszcze po machu?

Meblościanka była klasyczna, ale kanapa już z tych nowych, fotele też, tyle że jeden nie wytrzymał imprezy i smętnie zapadł się w siebie czarnym pluszem, połamana noga sterczała mu w bok jak wskaźnik. Za nim widziało się otwarte drzwi balkonowe i osiedlową półciemną noc ze ścinkiem paznokcia robiącym za księżyc. Ciepło, bo to lipiec, Anka wstała i puściła The Fugees z dwukasetowca.

– Całowanie oczywiście odpada – usiadła – ale możemy się pieprzyć. Jeśli chcesz.

– Gdzie? – Ruchem głowy wskazał poległych na podłodze.

– Łazienka jest wolna.

– Ktoś urwał umywalkę.

– Ja przecież nie o myciu zębów.

– Tyle że aktualnie jestem nieszczęśliwie zakochany.

– No to się dobrze składa. Ja jestem szczęśliwie niezakochana. Chodź.

Rehot z podłogi zaskoczył ich oboje. Rechoczący musiał się przysłuchiwać już

przez chwilę, może muzyka go ocuciła.

– Będiesz ruchał tę maskarę?!

– Śpij, dzbanie! – odburknął Maciek bez namysłu.

Ale dzban już wstawał na swoje metr dziewięćdziesiąt. Starszy, miał ze dwadzieścia lat, oczywiście na sportowo: biała koszulka z trzema czarnymi paskami, fioletowe spodnie z białym sznurkiem i reeboki do białych skarpet.

– Chybabym się porzygał, koleś.

Anka skurczyła się w sobie, patrzyła tylko na Maćka: nie reaguj, chodźmy stąd. Ale to „nie” było w jakimś obcym języku, w urdu albo po aramejsku, żeby był cień szansy, że nie zrozumiesz, że... Wiedział, co trzeba zrobić, ale jednocześnie był dziwnie przekonany, że nie robi. Szans nie miał żadnych. Szczupły siedemnastolatek z włosami za ucho i pięściami mniejszymi niż kostki Rubika. Tętno mu skoczyło, spocły się dłonie i stopy. Brał się już właściwie do jakiejś upokarzającej przemowy: daj, człowieku, spokój, wypij browara, ale wtedy smoła z lufki wypłynęła mu z płuc na język.

– Co się gapisz, pizdo z Parzęczewa?

Tamten stracił rezon na sekundę, może trzy.

– Przypierdolić ci? – zainteresował się.

I skoczyli.

I to tyle, jeśli chodzi o symetrię działań. Pierwszy cios trafił Maćka w czoło i przewrócił z powrotem na łóżko. Maciek jeszcze próbował kopnąć, ale sam dostał kopa w zębra. Podeszwą. Sflaczał i zasłonił głowę rękami, tyle się na osiedlu nauczył. Tamten bił na poważnie, bił za swoje dresy z bazaru, za hutę, która upadła, więc stary od roku siedzi w domu, za starą, którą stary leje, jak syna nie ma, za wszystkie te dziewczyny, które przechodzą na drugą stronę ulicy, za dziewczyny z teledysków Nazara, Kasy i Norbiego, za pieniądze, które robią inni, za Balcerowicza, Wałęsę, Tymińskiego i oczywiście za Żydów, Niemców i Ruskich, bił na poważnie, w szale, i pewnie by zabił, gdyby Anka nie przywaliła mu drążkiem do podciągania, który zerwał się wcześniej pod którymś z gości, jakby wiedział, że się przyda.

Działała szybko. Zanim Maciek się zorientował, miał już chustkę przy rozbitym nosie, a Anka wyprowadzała go jak nieprzytomnego staruszka spomiędzy gramolących się z podłogi koleżków dzbana.

– Zabiłaś go?

– Niestety nie, spieprzajmy stąd.

Gdy szamotali się z dziwacznym zamkiem, za nimi pojawił się chłopak w samych bokserkach.

– Co jest, kurwa?

– Wracaj do narzeczonej, Tinez – odpowiedziała Anka i już lecieli po schodach z szóstego piętra.

Maciek ledwo co widział, za to słyszał, że jakaś nieporadna, ale jednak pogoń tupie za nimi po schodach. Wybiegli z klatki i przebiegli do następnego rzędu bloków. Potem przesmykiem oddzielającym wielkopłytwce. Mignął mu w ciemnościach nieczytelny napis, ale znał go na pamięć, ktoś nabazgrał tam nieaktualny już skład The Cure. Dalej w prawo, przez dziurę w płocie na przedszkolny plac zabaw.

- Dobra, poczekaj, oni nie są stąd. Już nas nie dorwą, a ze mnie leci jak cholera.
- Co to za kolesie w ogóle?
- Nie mam pojęcia. Pewnie z Arbuzowej. Piechota kreszowa.
- Dobra, daj, ja wytrę, bo rozmazujesz, poeto. Złamał ci nos?
- Nie, chyba nie. Wtedy tak napierdala, że nie da się myśleć. I co ty z tym poetą?
- No „pizdo z Parzęczewa”? – Znowu śmiała się gdzieś z dna płuc, jak sowa.

Odwróciła go do światła latarni. – Usta to masz teraz prawie jak ja. Po coś się rzucał?

- I tak by się tak skończyło, niedopity debil musi się ruszać, byliśmy pod ręką.
- Dobra, odprowadzę cię.

– Po pierwsze to facet odprowadza dziewczynę, po drugie mogą gdzieś tu jeszcze latać. Chodź, zabunkrujemy się w tamtym domku.

- Nie jest zamknięty?
- Nigdy nie był.

Drewniana budka trochę dla przedszkolaków, a trochę składzik: stara szczotka, rozpieprzony konik na sprężynie, skrzynka z przeciwpożarowym piaskiem. Na niej usiedli.

- Wiesz, pewnie to głupie, ale gdybyś ciągle chciał...

– A czy ja powiedziałem, że chcę? Mówiłem ci, że jestem zakochany w jednej takiej.

- Znam?
- Nie znasz. Papierosy masz?
- Ostatniego.

Palili na spółkę, chowając żarzącą się końcówkę w garściach.

- Anka?
- Co, poeto?
- Tamto to nie, ale chcę się całować.
- Ze mną?!
- Nie, chciałem z tamtym gościem, ale mu przyjebałaś drażkiem do podciągania.

Nie pozwolił jej na dobre się roześmiać. W ciemności dopasował swoje rozbite usta do jej. Nie miała wielkiej wprawy, ale na pewno nie był to jej pierwszy pocałunek. Językiem badał jej zęby, czując żelazisty smak własnej krwi, ugryzła go lekko w wargę, syknął, ale podobało mu się, pozwolił, by jej język dotykał jego podniebienia. Zastanawiał się, czy krew smakuje jej tak samo jak jemu. Wyobraził sobie, jak wyglądają z boku, z krwią skapującą po brodach, ale wiedział, że pod żadnym pozorem nie może się roześmiać. I nie roześmiał się.

Teraz też nie. Przyglądał się tylko ćwiartce swojej twarzy. Co się w niej od tamtego czasu wytarło, jak wyblakły oczy, łatwiej przez takie oczy, choćby w lustrze, spojrzeć. Śmieje się z siebie tamtego, bo to prostsze niż drwienie z siebie tu i teraz, gdy zwalisty fryzjer oczyszcza ci łaskoczącą szczotką twarz i szyję, a włosy spadają na podłogę. Siwe nie lecą szybciej niż te blond. Chciałoby się pójść ostrzyc do Anki, a zamiast tego wciska się dychę napiwku panu Andrzejowi, bo i tak tanio.

## Patelnia

Boczna uliczka w Warszawie. Z tych boczniejszych. Chciałoby się napisać „willowa”, ale to nieprawda. Domy i dom-ki, parkany bez większych upiększeń, wyliniałe trawniki, gdzieś kwietniki pod gałęziami, jak w szałasach. Przyciąga i zatrzymuje mnie murek. Bo omszały, ale bez ostentacji. Cieniutka, miejscami podziurawiona zieleń. Chce się jej dotknąć, delikatność na betonowym konkrety. Głupio wzruszające. Wyżej metalowe ogrodzenie w plamach rdzy. I za nim gruby pień. To z niego spłynęło zielone na murek, tak to wygląda. Tu już nie ma żartów, rozpanoszony ten mech, można by go czesać. Zapaliłem papierosa, żeby jeszcze postać. Za drzewem ceglany dom. Niebo jest grudniowe, szare jak ortaliony pierwszych poradzieckich handlarzy na Stadionie. Światła nie za dużo, ale wystarczy. Gdybym zmyślał tę historię, dorzuciłbym do porośniętego murku chudego kota patrzącego nie-ufnie. Chude koty zawsze pasują. Ale kota nie ma.

Idę i rymuję mi się te domy i ogródki. Niedokładnie, ale się rymują. Przy którymś z kolei – plastikowy śmietnik. I obok niego, tak żeby można było sięgnąć przez szparę pod płotem, patelnia. Używana, ale całkiem dobra. Dość głęboka, z drewnianą rączką, wyszorowana. Głowa na takie okazje ma zazwyczaj jakieś dziwactwa. Przypominam sobie, że wielka fala Romów, która przybyła do Polski w XIX wieku, to byli Kelderasze. Kelderari, czyli ci, którzy robią patelnie, garnki, kotły. Rozglądam się i rzeczywiście – z drugiej strony kubła stoją jeszcze garnki. Zwykle, stare, takie same miała moja babcia, masowa produkcja lat chyba osiemdziesiątych. Pomarańczowe z zewnątrz, a na tym pomarańcu schematyczne rysunki kwiatów. I nagle ściśnięcie pod sercem. Oby ktoś kupił sobie nowe wyposażenie kuchni. Na bazarze, w designerskim sklepie albo w supermarkecie za odpowiednią liczbę naklejek do zniżki. Bo moja głowa jest taka, że od razu wie: ktoś odumarł te garnki i patelnię. I dzieci albo wnuki powoli opróżniają dom z barachła. Komuś się może przydać, a kupić przecież nikt nie kupi. Patrę więc na ten dom zrymowany z innymi jak na dom w żałobie. Ktoś tu mieszkał pewnie sześćdziesiąt lat i oczy wyszukują czerni. W tym świetle wszystko, co ciemniejsze, jest czarne. Gałązki jakiegoś krzewu, ziemia tam, gdzie przetała się trawa, gumowa wycieraczka przed wejściem. Dwa gawrony grzebiące dziobami w ziemi przemianowują sobie na kruki. Kruki ponoć potrafią nadawać sobie nawzajem imiona i opowiadać proste historie.

## Skazka

Żyli--byli sobie dwaj bracia, bo to są właściwie dwie opowieści, które się jakoś w sobie zakleszczyły i sterczą teraz ku obojętnemu, jak zwykle, niebu, sterczą na pośmiewis-ko i przestrach. Całkiem jak my, całkiem jak my.

Żyli--byli sobie dwaj bracia o śmiesznym, jakby wschodnim nazwisku i chodzili obaj do szkoły podstawowej numer 307, która była żółta jak butelka rzepakowego oleju. Dzielili ich dwa lata, ale wyglądali jak bliźniacy, starszy był tylko nieco wyższy. Obaj chudzi, ptakowaci w długich nosach i wystających kościach policzkowych. Oczy mieli takie, jak mają kawki, pełne smutku i uwagi, tak że pozornie zdawały się przestraszone, niemal bezmyślne. Nie palili papierosów i nie tłukli szyb, nogami przypominającymi umięśnione szczudła kopali piłkę jak wszyscy wtedy, ale kopali ją, jakby nic ich to nie obchodziło. Jakby znaleźli się na boisku przypadkiem, teleportowani z opery dla dzieci, i wykonywali wprawdzie ruchy, których się od nich oczekuje (podaj, kurwa!), ale jak kukielki, jak zwierzęta w cyrku.

Żyli--byli sobie dwaj bracia, których nazwisko brzmiało jak imię bohatera bajki napisanej przez Aleksieja Tołstoja. Obcięci byli „na pazia”, ich proste, niemal bawełniane włosy dotykały uszu trochę z obawą, jakby ciepło ciała było dla nich czymś niezwykłym. Obaj chodzili w ubraniach odpowiednich dla czterdziestolatków: spodnie w kant, półbuty i koszule. Z wszystkiego tego śmiano się na Stegnach w tamtym czasie. Śmiały się dziewczyny, śmiały się chłopaki, śmiały się mury żółtej szkoły numer 307, asfaltowe chodniki i asfaltowe podwórka, na których grano wtedy jeszcze w kapsle, kwadraty i w gumę. Chodzili ciągle zaczerwienieni, nie wiadomo, zawstydzeni czy podnieceni czymś dla nas wtedy niezrozumiałym. Do tego mówili innym językiem. Używali „iż”, „zgoła”, „albowiem”, jakby to były zwykłe stegienne słowa, jakby można było nimi zaprosić dziewczynę do kina, umówić się na solówkę po szkole, kupić prawie działający silnik do motorynki.

Nie zrozumcie tego źle, mieliśmy swoich kujonów, lalusiów, chłopaków delikatnych jak chrabąszcze bez chityny. Tylko że B. nie byli delikatni, raczej kanciaci, uczyli się dobrze, ale nie wybitnie, czytali dziwne książki, ale takich, co czytali, też mieliśmy. Byli z XIX wieku, a ktoś złośliwym żartem wrzucił ich w początek lat dziewięćdziesiątych na obrzeża Warszawy. Na przerwach odnajdywali się na korytarzu i szeptali coś między sobą, i od tego szeptu robiło się wokół nich zimno, nikt nie chciał marznąć. To było wręcz fizycznie niewiarygodne: klasy do F, w klasach po czterdzieścioro dzieci, szkoła nabita jak prochem, a wkoło nich dwa metry przestrzeni, w której nie wiadomo, co się dzieje.

Żyli--byli sobie dwaj bracia i jakby tego było mało, byli innej wiary. Jeździli do cerkwi na Pragę, ubrani jeszcze odświętniej niż na co dzień, z cienkimi czarnymi krawatami, które dzieliły ich absurdalnie długie torsy na pół. Szli zawsze we trzech, z ojcem, którego starszy z synów już prawie przerósł. Ojciec nawet latem w eleganckim płaszczu, opięty pasem ze srebrną klamrą tak ściśle, że wyglądało to, jakby szła klepsydra z głową. Oczy bracia mieli po nim, ale na tym podobieństwo się kończyło. On miał ciało

miękkie i obfite, krótkie nogi i ręce przypominały zrolowane kocyki, wąsy łączyły mu się z wypielęgnowaną siwiejącą brodą. Długie włosy zaczesywał do tyłu i pomadował. Wyglądał jak wschodni biskup w cywilu, do którego świętej sylwetki ktoś dopompuwał dla śmiechu powietrze. Odprowadzały ich katolickie spojrzenia i wielko-płytkowe plotki, które suną rurami zsyków jak karaluchy i mrówki faraona.

Starszego właściwie tylko widywałem, młodszy chodził do równoległej klasy. Co oznaczało, że mieliśmy wspólny WF, chłopcy na jednej, dziewczyny na drugiej połowie nowoczesnej sali. Albo: chłopcy na boisku, dziewczyny na bieżni, koedukację zawieszano na te czterdzieści pięć lub dziewięćdziesiąt minut. Grał z nami w piłkę, w kosza, w ręczną. Obojętny na nasze wrzaski, wyzwiska, na wynik. Starał się robić swoje, wcale nie najgorzej z nas, i tyle. Aż do pewnego maja.

Przebieraliśmy się jak zwykle, trochę podnieceni tym, że dziewczyny też są prawie gołe tuż za ścianą, leciały żarty, przechwałki, słońce przez małe okienko jak żółty magnes ciągnęło nas na boisko. A Sergiusz siedział nieruchomo na niskiej drewnianej ławce.

– Co jest? – rzucił ktoś dla porządku.

– Nic nadzwyczajnego się nie dzieje.

I weź tu gadaj z takim, pobiegliśmy być piłkarzami.

Pan W., były olimpijczyk, zrobił zbiórkę, kolejno odlicz, spojrzał w dziennik i coś mu się nie zgadzało.

– B. jest?

– No... jest... ale się nie przebrał.

– Nie ma stroju?

Rzucił nam piłkę i poszedł do szatni. Część chciała grać, ale oczywiście ktoś zaproponował, żeby popatrzeć. To nie było takie proste, trzeba było dać dwóm z nas nóżkę, żeby sięgnęli do okienek i mogli relacjonować reszcie. Padło na mnie i na Małego, bo byliśmy najlżejsi. Oglądaliśmy nieme kino, okna były zabite na stałe. Sergiusz siedział, tak jak go zostawiliśmy, i jadł kanapkę odwinętą z papieru. Pan W., były olimpijczyk, otworzył drzwi i nie wchodząc, zapytał go o coś. Sergiusz spojrzał na niego tymi swoimi oczami z braci Grimm i wzruszył ramionami. Wyglądało to tak, jakby ktoś na próbę pociągnął marionetkę za sznurki. Pan W. zapytał o coś jeszcze i znów ktoś niewidoczny poderwał do góry chude ramiona młodszego brata. I tak to się powtarzało.

– I co się dzieje?

– Nic, opierdala go chyba.

W końcu coś w panu W. przeskoczyło. Podeszedł do niego swoim wysportowanym krokiem i rozpiął mu koszulę jak małemu dziecku. Sergiusz nie reagował. Również wtedy, gdy pan W. obrócił go plecami do naszych okien i ściągnął mu tę koszulę jednym olimpijskim gestem.

To wyglądało jak mapa. Jaśniejsze i ciemniejsze plamy, zatoki, regularne wyżyny, małe kropki metropolii. Od tyłka do barków, prawie bez białych plam, tu już Magellan i Amundsen byliby bez roboty. Spojrzeliśmy na siebie z Małym, jak gdybyśmy to my byli braćmi, i zeskoczyliśmy z rąk kolegów. Nie byliśmy, jak się okazuje, już ani tacy młodzi, ani przesadnie okrutni. Ani głupi.

– I co? I co?



– Chujów sto! Wpisał mu nieprzygotowanie. Wiśnia z Robsonem wybierają skład!

Żyli--byli sobie dwaj bracia sztywni od jakiejś tajemnicy, chudzi z braku rozmów i wielkoocy, jakby nie mogli się napatrzeć. Starszy tuż przed końcem ostatniej klasy się zakochał. Dziewczyna miała na imię Samanta, nazwiska nie pamiętam. Była dość niska i kwitła swoimi piętnastoma laty na blond, na krótkie porwane szorty, na piersi w koszulce Volleyball Team. Na ten Volleyball Team, na opalone nogi i niebieskie oczy niejednen z nas patrzył, ale ona miała lepszych, czekali na nią pod szkołą jacyś licealiści i nasi tyle mieli, że przeżykali ślinę, gdy stawała na palcach, by pocałować szczęśliwego dryblasa, a krótkie, porwane szorty opinały się na niej jak na jabłku.

Zakochać się w takiej dziewczynie to nie sztuka, sztuka to ukryć, bo wiadomo, nie dadzą ci żyć. A co dopiero jak jesteś starszym bratem B., masz na imię Witold i czytasz na przerwach katechizm Cerkwi prawosławnej. Jakoś tak jest, że miłość prześwituje, dowiedzieli się. I się zaczęło. Mówili mi potem, że to już trwało długo: gesty, dowcipasy, rysunki na tablicy. Ponoć Witek (tak mówiły do niego nauczycielki) nie reagował, czerwieniał tylko bardziej i zaciskał dłoń na ręczce czarnej teczki. Z dłoni kapał pot i wyglądało to tak, jakby wycisnął sok ze skajowego uchwytu.

– Te, Pinokio! (tak wołali go koledzy z klasy) Pinokio! Do ciebie mówię, łosiu! A wiesz, że tę twoją Samantę to ruchają po dwóch, aż im się jaja trzęsą?!

To krzyczy Małpa, czyli Małecki, wielki jak krowia tusza blondyn, a rechoce cała grupka stojąca pod daszkiem na tyłach szkolnego basenu. Bo szkoła numer 307 ma basen i pełnowymiarową salę gimnastyczną, jak przystało na miejsce, którego patronem jest wiedeński zwycięzca. Czerwiec i nie ma wiatru, a mimo to Małpa trzyma papierosa we wnętrzu dłoni, od basenu zalatuje chlorem, z sali słychać próbę chóru przed rozdaniem świadectw. „W Warszawie na Stegnach szkoła rozśpiewaana...”, niosą się głównie dziewczęce głosy, a Witek zaczyna biec. Biegnie przez piaszczyste boisko, wzbijając tumany tego pias-ku, które zaraz się rozwiewają, ale piasek na języku zbryla się w ślinie. „...Sławi uroczyście imię króla Jana...” – zdaje mu się, że słyszy w tym chórze głos Samanty, głos, który do niej pasuje i nie pasuje zarazem, ciemny alt, i już jest przed Małpą, i wali go pięścią jak cepem, nieporadnym ciosem zlepionym z wściekłości i żalu. Małpa nawet nie zdąży rzucić peta, głowa mu odskakuje jak boksyrska gruszka. „...Wiwat król Sobieski, nasza duma, -chwaaała...”, fałszują dziewczyny i trzech kujonów, a Małecki się ogarnia. W końcu to dla niego żadna nowość. Trzy razy: lewa strona podbródka, wątroba i prawe ucho. „...Ojczyzna cię wielbi, kocha Polska caaaała...”. Nie wstawaj, mówi ktoś starszy w mojej głowie, ale Witek się podnosi, krew, łzy i smarki oblepiają mu twarz i tylko oczy prześwitują na czarno. Z krzykiem rzuca się całym ciałem na Małpę.

– Chudy żyła – mówi ktoś za moimi plecami.

„...Jego życie wzorem naszym niech się staaanie...” nie wybrzmiało do końca, a Małecki już siedzi na klatce piersiowej starszego brata B. i uderza go rytmicznie: bam, bam, bam. Nos jest chyba złamany, krew zalała już nie tylko twarz, ale też podartą koszulę i spodnie. Do krwi przylepia się piasek jak małe klejnociki, jak cekiny.

– Dobra, dość, kurwa! – krzyczy jakaś dziewczyna.

Małecki schodzi ze starszego B. i na do widzenia, odchrząknąwszy, pluje mu w oczy. „...Miłość do ojczyzny, ksiąg umiłowaanie...”, fałszuje chór, a starszy B. wstaje. Ktoś mu nawet podaje rękę, niejeden Małpy nienawidzi. Witek rzuca się jeszcze w jego kierunku, zapalającego już fajkę, niespiesznie odchodzącego, ale go przytrzymują, choć się wrywa i szarpie. Widzę jego rozerwaną na plecach koszulę i zlepione krwią włosy. Koszula rozchyliła się jak kurtyna i widać mapę. Jaśniejsze i ciemniejsze plamy, zatoki, regularne wyżyny, małe kropki metropolii. Od tyłka do szyi, prawie bez białych plam.

Dwadzieścia lat później, wiosna przechodząca w lato, kawiarnia, ale taka, w której można zjeść obiad, jak wszędzie teraz, gwar zapijany kawą, winem i wodą w fikuśnych szklankach. Kobieta, z którą miałem się spotkać, już raczej nie przyjdzie. Nie chce mi się nawet do niej dzwonić, sprawy potrafią cichnąć i zamierać. Kończy się pora na lunch, w ruch idą serwetki, karty płatnicze i monety w napiwkach. Dwa głośniki z pomarańczowymi znaczkami JBL sugerują, że love, love will tear us apart again, ale bez przekonania. To nie Ian Curtis, tylko jakaś smoothjazzowa przeróbka. Pewne sprawy cichną i zamierają, stają się smoothjazzowymi coverami, elegancką parszywką. Jestem bez okularów, więc przesiadam się bliżej, zamawiam alkohol, pierwszy raz od dwóch miesięcy. Na chybił trafił, bo nie wiem, co powinno się pić w takim momencie.

Posiwał i wychudł. I nie ma płaszcza. Błękitny krawat przypomina absurdalnie prostą rzekę na jakiejś mapie.

Żyli--byli sobie dwaj bracia, dla których nikt nigdy nic nie zrobił. Żyli--byli sobie dwaj bracia, dla których ja nigdy nic nie zrobiłem. Skończyłem szkołę, przeprowadziłem się, zdawało się – zapomniałem. A teraz piję ciemny rum i przypatruję się, jak wielki kartograf je łososia, zerkając w jakąś gazetę. Przy każdym kęsie długa broda kołysze się nieco na boki, połyskując kroplami tłuszczu, które skapują mu z warg. Rację ma Święty Cyryl Jerozolimski, kiedy mówi, że wiara jest okiem oświecającym wszelkie sumienie. Wierzyłem w życiu w różne bzdury, a sumienie nosiłem w najmniejszej, kurewsko wewnętrznej kieszeni. Domyślając się jednak, czy raczej – wierząc, że nie na próżno, że może się przyda. Piosenka w głośnikach się zmienia, rum smakuje jak piasek, za chwilę wstanę.

Na razie siedzę.

Na razie patrzę.

## Rano

Świat na wznak, położyły się domy, drzewa i latarnie. Domy drzemią, drzewa na lekkim wietrze zamiatają liść-mi ulice, a latarnie świecą w małe oczka studzienek, tam, gdzie nikt nigdy nie świecił prócz kanalarzy, poważnych pod latarkami na kaskach, bo to przecież Warszawa. Świat na wznak, kora drzew przylgnęła do asfaltu, połowa okien stała się zbędna, słupy latarni wyglądają jak opuszczone tory.

Ciągle nie mogę się przyzwyczać do sterczących w niebo topoli, budynków i okrągłogłowych znaków. Były takie eksperymenty: ludzie przez parę dni żyli do góry nogami w specjalnie zaprojektowanych pomieszczeniach i ich wzrok, błędnik szybko się przyzwyczajały. Ale gdy wracali do normalnego życia – byli bliscy szaleństwa. Nie umieli oduczyć się odwrotności, a to podobno dlatego, że tacy się rodzimy, ze spojrzeniem dogórnogowym. Pamiętam wzrok mojej córki w tych pierwszych minutach, czarny wzrok bez mrugnięć, podwójny strach, gęsty jak nic innego na świecie.

Trudno się dziwić. Dziwić się należy, że to zanika, rozwadnia się w parę tygodni. Później, dużo później, gdy jesteś już paskudnie dorosły – taki wzrok przeraża. Takie węgle. Takie oczy miał wujek Wariat, który miał też oczywiście imię, ale go nie zdradzę, na pewno nie teraz, gdy patrzę przez okno na pionowy świat, a oddycham jeszcze powietrzem ze świata na wznak, powietrzem ze snu, które ma zapach, gęstość i ton, które jest pitagorejskie – muzyczne i boskie. Za chwilę zapomnę, wyjdę do ludzi i spraw, zniżej, by nie ściagały mnie wasze spojrzenia i śmiech.

Cały był z utajeń, zresztą nie tylko swoich, z pomilkiwania rodziny, ze zdań urwanych po, niewidzialny w mowie, z dziur w albumach. Babcia, a może ktoś inny, wyjęła te paręnaście zdjęć, ale nie chciało się jej albo nie mogło włożyć w to miejsce innych.

Swój pokój zamykał na zasuwkę i, prawdę powiedziawszy, wpuszczał tylko mnie, ale nikt mnie nie pytał, co tam jest, a gdy sam z siebie próbowałem opowiadać, zaraz zaczynał się film w telewizji albo trzeba było zjeść deser, najczęściej pączki, te małe na wagę, dla dzieci. Jakieś dziecko przez tę ciszę prześwitywało, było gdzieś daleko, z kobietą, która też nie miała twarzy ani imienia. Gdzieś mignęła mi rączka, gdzieś zapłakany policzek, gdzieś płeć (dziewczynka). I słowo: szkoda. Słowo ukryte gdzieś jak znamię, pozornie przypadkowy zrost pieprzyków. Musiało być dziedziczne, bo skrzypiało też zawsze przy tych rzadkich rozmowach o wujku. Szkoda Wujek – trochę jak węgierski piłkarz, dziś myślę: może piłkarz wodny, bo to Węgrów narodowy sport, i przecież nie powietrzem oddychaliśmy tam, w jego klitce, prędzej natlenioną wodą, obaj trochę tonąc, nad szachami, nad numerami totolotka pisanymi ciągiem w dużym zeszycie chyba od dwudziestu lat.

– System – mówił wujek i pokazywał te tysiące cyfr, które jak tłum oglądany z daleka traciły kształty i znaczenie, trójka wtapiała się w dziewiątkę, ta w jedynekę i tak dalej, aż grzązł czas i gniotła się matematyka z fizyką.

I cuda stawały się możliwe. I czary oczywiście. Ale nie korzystały z okazji, nikt nie wyzwał Wujka ze strachu, nic nie zaczynało się od początku, żadne miłosierdzie nie

wciskało się przez uchylony na Grochów lufcik. Czas tylko, jak mówiłem, grzązł. Godziny mieściły się w kwadransach, aż ktoś w końcu pukał do drzwi pokoju, wujek ścisnął mi dłoń jak dorosłemu, odsuwał zasuwkę i wychodziłem na wąski korytarz, z lewej strony wisiało wielkie odrzewione lustro, chłopiec w lustrze miał oczy jak błękitne guziki, jeszcze przez parę chwil niepasujące do żadnej pętelki.

I tak siedział w tym pokoju trzydzieści lat. Albo stał, z roku na rok grubszy, wypchany strachem, który w samotności zmienia się w tłuszcz, stał nad zadaniem szachowym, nad figurami rozstawionymi na dużej plastikowej szachownicy i wkładał palce w gęstą siwiejącą z roku na rok brodę, jakby tam było rozwiązanie, karteczka z „hetman na b4, laufer na g5” i tak dalej, a potem przeczesywał rzednące i siwiejące z roku na rok włosy i tam to znajdował ten niematerialny zwitek, szept Mieczysława Najdorfa, mrugnięcie okiem Akiby Rubinsteina, więc mówił cicho: no jasne! Albo brzydkie słowo. Wtedy odwracał się do mnie i mruzczał: tego nie powtarzaj. O ile byłem w pokoju, a przecież bywałem rzadko, często więc nic nie dodawał, wypuszczał przekleństwo z ust i zapalał jednego z bladoczerwonej paczki klubowych. Dym drażnił mu oczy, więc wujek łzawił i pokasywał, i przez te minuty, kiedy palił po rozwiązaniu zagadki, węgle, którymi patrzył na świat, świat wielkości swojego pokoju, przygasały. Na te kilka minut. Przez te kilka minut się nie bał.

Ile już razy odtwarzałem tę banalną grochowską historię, która uczyniła jego życie takim, jakie było. Rysowałem sobie w głowie te pierwsze gitolackie wtajemniczenia, podwórkowe cienie skraplające się w tuszowych „łezkach” w kąciakach oczu, przechwałki dzieciaków, opowieści starej gwardii, alpagi na działkach i w bramach, ksywki przylatujące znikąd, ale często na zawsze, niedoświetlone ulice i uliczki z gwiazdkami żarzących się żarłocznie papierosów, a za gwiazdkami kołyszący się niby nonszalancko, w środku napięci, jakby ich Grochów ścisnął za wątrobę i pchał to tu, to tam, głodnych, niedopitych, niedożytych. I potem wyobrażałem sobie tę robotę, jakieś piwnice z fantami, które spylało się zwykle za tanie pieniądze prawdziwym praskim albo grochowskim paserom ze złotymi sygnetami na serdecznych palcach. Już wtedy była ta kobieta, dziewczyna raczej, było to dziecko, dziewczynka, a on stał na obcinie, bo też był jeszcze mało-latem, nie żadnym tam urke, żadnym serio złodziejem. I wszystko poszło dobrze. A dwa tygodnie później całą czwórkę powinęli. I trzech posadzili, a wujek dostał tylko zawiasy, i szeptały niedoświetlone grochowskie ulice, a takie szepty błyszczą jak noże. I strach objął Wujka jak dobry milicjant. To było czekanie, aż przycichnie, aż się rozejdzie po młodych kościach. Widać jednak od urodzenia miał w sobie miejsce na strach, bardzo dużo miejsca, wejdz strachu, na trzydzieści lat, do śmierci.

To wszystko mam polepione ze strzępów, z wyimków, z pustych miejsc i chrząknięć kończących nagle rozmowę. Do dziś nie wiem, kiedy znikła tamta kobieta, jak zniknęło dziecko, kto zdradził, jak wielki był złoty sygnet, który odbijał światło księżycyca w którymś z grochowskich albo praskich mieszkań. Zdaje się, że żadnego konfidenta nie było. Wujek był wtedy młody, ledwie pełnoletni, miał równie młodą żonę i małe dziecko, sędzia się nad nim zlitował, nie wiedząc, że ta litość to gleba dla szeptów, a szepty błyszczą w nocy jak noże, i choć dawno poblakły, to dla Wujka błyszcząły przez trzydzieści lat, trzydzieści lat w pokoju, tylko do toalety, tylko wcześniej rano i późno

w nocy do kuchni, tylko pukanie jego matki, mojej babci, i zupa na parującym talerzu, szcęk zasuwki, tyle.

Nauczył mnie szachów i wielu słów, które wydawały mu się przydatne, ale ulica już o nich zapomniała. Pokazywał mi konstrukcję z żarówek, kabli i choinkowych lampek, która rozbłyskiwała, gdy ktoś dzwonił do drzwi mieszkania, zainstalował to chyba w nocy, gdy inni spali. Opowiadał mi filmy, lubiłem westerny i kryminały, część chyba zmyślił, ale mnie to nie przeszkadzało. Nauczył mnie grać w pokera i remika, pokazał na damę w klasycznej zielonej talii i uśmiechnął się: cycki. Opowiedział mi, że ojciec i dziadek produkują fałszywe dolary, wtedy byłem bardzo mały, uwierzyłem, zwłaszcza że w domu mieliśmy tylko kilka bonów PKO. Po tym długo do niego nie zachodziłem. Czarnymi oczami zaglądał we mnie, a ja niebieskimi w niego, nie robił nic złego, przyjaźniliśmy się. Gdy umarli już wszyscy z pokolenia wyżej, mama namówiła go w końcu na leczenie, ze strachu się zgodził, ze strachu, że tu zostanie, że umrze z głodu, strach wypędził strach. Przyjeżdżał do niego lekarz, znalazł trzy choroby: mózgu, duszy, psychiki – jak tam sobie chcecie. Zrobili mu badania krwi, lekarz zapisywał tabletki.

Pamiętam, jak pierwszy raz wyszedł, ojciec przywiózł go do nas na święta, wypił kieliszek, zjadł. Moja siostrzenica miała wtedy rok, poszliśmy na spacer do Wilanowa. Byłem naburmuszonym nastolatkiem, szedłem z tyłu, on ze wszystkimi przede mną, szedł dość pewnie, prowadził wózek z dzieckiem, nie widziałem, czy zerkał do środka. Ciepły, niemal upalny wielkanocny poniedziałek. Plama potu na jego plecach na kraciastej koszuli rozlewała się w tarczę z wesołego miasteczka.

Niedługo potem zadzwonił do mamy, że jest chory. Zapalenie płuc, ale się dziwnie wikłało, umarł w grochowskiej nocy, w tym łóżku, w tym pokoju. Mama chciała sekcji, potem chciała bić lekarzy, miał niewykrytą cukrzycę, a wątrobę tak rozpieprzoną psychotropami, że nawet patolog był zdumiony. Nie wiedział, nikt nie wiedział prócz mnie, kto go za tę wątrobę ścisnął.

Myślę o nim czasami rano, leżąc, jeszcze ze snem w gard-le, patrzy na mnie, sonduje, ile u mnie miejsca.

Lato

Szwedzkemu

Teraz to właściwie nie wiem, jak jest, ale wtedy Dzielnicowy to był ktoś. Nawet niewidzialny Dzielnicowy, a może przede wszystkim niewidzialny Dzielnicowy, to był ktoś, to było „Dzi” twardsze niż „Dży”, to było szeptanie przy kranie w śmietniku, który Chudzielec zostawił dla nas otwarty, szeptanie pod smród i łoskot śmieci sunących zsysem: u nich był Dzielnicowy i wyprowadził jego ojca, i zrobił przeszukanie! Przeszukania znaleźliśmy z Klossa, z Polskich dróg, z Kolumbów, więc bledliśmy pod letnią opalenizną i polewaliśmy się śmietnikową wodą, i Gerber darł się, udając księdza:

– Chrzcę was imieniem Fiut! Od dziś każdy z was będzie się nazywał Fiut!

– A ty niby jak?

– Ja będę biskup Fiut! – I śmiał się, jak śmieją się chłopaki latem, gdy jest trzydzieści stopni, gdy jest piłka i bois-ko, a Chudzielec zostawił nam otwarty śmietnik z boku klatki, żebyśmy mogli się polewać, pić i nadawać imiona, choć tylko na chwilę, na piętnaście błysnąć białych zębów w opalonych, nieobrosłych jeszcze gębach.

Nigdy nie widziałem Dzielnicowego, więc bałem się go zaocznie, na słowo. Na żywo i poważnie baliśmy się Chudzielca, który uwielbiał nas na przeróżne sposoby: a to otwierając nam śmietnik, a to goniąc nas z miotłą, bo znowu zacięliśmy kogoś w windzie albo wrzuciliśmy do niej „śmierdziela” z kopających piłeczek pingpongowych, do tej windy, w której wytarł się służbowy napis: „Wychodząc z domu, sprawdź, czy zakręcone są kurki gazu...” i ktoś flamastrem „kurki” zamienił na „kurwy”, tej samej windy, w której było nadbite lustro i która jeździła powoli, bo nikomu się chyba nie spieszyło w żadną ze stron, za to buczała jak czołg i wyrzucała spod siebie grube liny, a my patrzyliśmy na to z zewnątrz, przez wąską szybkę i opowiadaliśmy sobie o wszystkich zmiżdżeniach, ucięciach nóg i rąk, o zerwaniach wind bliźniaczych, nie przestając manipulować śrubokrętem w takiej specjalnej dziurce, dzięki czemu ten ktoś, kto jechał, zatrzymywał się co dwadzieścia centymetrów i obijał się jak podczas sztormu, i klął albo piszczał – jeśli to była akurat dziewczyna, najlepiej cycata Marta, córka znanej aktorki.

Znaliśmy słowo „cycki” i widzieliśmy te wybrzuszenia, ale po prawdzie było to dla nas po prostu zabawne, że ktoś chodzi z takimi balonami z przodu i że gdy wciskamy ten śrubokręt w dziurkę, to te balony podskakują, i nic żeśmy nie kojarzyli, że śrubokręt, że dziurka, a nawet jeśli coś nam majaczyło, to nikt się nie przyznawał. To wszystko było tylko odbicie rozmów starszych chłopaków, rozmów już lepkich, przeplatanych fachowymi splunięciami, zaciąganiem się opalami albo stołecznymi, rozmów, które pachniały potem, fajkami i błagą. Ale błagą dla nas jeszcze niepojętą, słuchaliśmy tych rozmów, zapamiętywaliśmy słowa i świńskie wierszyki, ale czekaliśmy, aż któryś z nich wstanie i powie: idziemy pokopać. Kopaliśmy w zapamiętaniu, a Chudzielec ścierał ślady petów i splunień, klnąc pod nosem. Pod nosem, bo nas mógł ganiać, ale takiego Patryka czy Siwego to już się raczej bał. I my się baliśmy szczególnie Patryka, małych oczu

i cienkich słów zblatowanych z niedużymi pięściami. Niejeden ze starszych, który te pięści zlekceważył, pluł potem krwią i kawałkami zębów.

Wiśnia chodził niemal „stópkami”, niemal jak my, gdy wybieraliśmy skład do meczu – pięta jednej stopy ma dotykać palców drugiej, i znów, i znów, aż dostópkujesz do tego, tak samo drobiącego, z którym wybierasz, i albo on, albo ty przydepniecie trampkokorki, i macie pierwszeństwo, i bierzecie tego, który coś kuma. Tyle że Wiśnia nie wybierał składów, przenigdy, nawet w żartach nikt by mu tego nie proponował.

No ale tak chodził, jak ruskie ludowe tancerki, choć stopy miał spore i w ogóle był długawy. Kiwał się przez to i drobił jak kaczką, a już całkiem, gdy niósł rybkę z Sadyby. Przejęty, lewym okiem wpatrzony w torebkę, prawym zezując na chodnik, żeby się broń Boże nie potknąć, i coś tam mamrocząc w języku akwarystów, w którym sylaby naśladują nieme cmoknięcia ryb.

Bo na Sadybie był akwarystyczny, a Wiśnia kochał klocki lego, kolejki Piko i rybki. Paru z nas też było w to wkręconych, taka była moda. Stawali na przerwach albo po szkole i gadali: że gupiki to i tamto, że skalary szybko zdychają, a Piotrek to ma akwarium na pół pokoju i gdyby wpuścić tam rekina, to jeszcze dałby radę nawrócić. Nie zwracaliśmy na to uwagi, jednych kręciły motorynki, drugich saletra i wsypywanie prochu z odpustowych korków między śrubę a zakrętkę, trzecich zbieranie paczek po zachodnich fajkach, a Wiśnię, Wolfa i paru innych pływające pazłotka i odmulacze dna. Gadali nawet o termometrach, glonach i natężeniu światła, jakby nie rozumieli, że najlepsze światło to upał i wolne boisko na Maltańskiej albo chociaż to boczne przy wale obok Sardyńskiej. Ich sprawa.

To był sierpień, zmęczeni i brudni siedzieliśmy na ławce przed klatką. To znaczy siedział Siwy, Jurek, Patryk i Olgierd, my – czyli małolaty – siedzieliśmy na piłkach albo staliśmy obok, udając, że dym z opali i stołecznych nie gryzie nas w gardło, i pluliśmy jak wszyscy, dookoła siebie, tak że gdy chciało się przejść parę kroków, trzeba było stąpać jak po polu minowym. Siwy i Patryk byli czerwoni i podekscytowani, starli z siebie na chwilę te swoje cwaniackie maski i cedzenie przez zęby, jakby słowa były łupinami pestek słonecznika, bo usiedli dopiero przed sekundą, tuż po tym, jak z klatki wybiegła cycata Marta, wściekła albo zapłakana, nie zdążyliśmy zauważyć. Usiedli i opowiadali o zmacaniu. Nie bardzo rozumieliśmy to słowo, ale podpowiadały nam uśmiechy i rumieńce starszych chłopaków.

– Normalnie Siwy ją przycisnął i... – Patryk zaciągnął się stołecznym, jakby się wynurzył z wielkiego akwarium.

Znaliśmy to, tak opowiadał o bitkach, o złamanych nosach i rozbitych wargach. Nagle Olgierd wstał.

– I to ma być, kurwa, powód do dumy?! Chuja tam zmacaliście, dała wam po pyskach i cała historia.

Słońce zaszło za jedyną tego dnia chmurę. Patrzyliśmy w ziemię, w chodnik z bajorami śliny jak w mapę na geografii u Hadriana (tego, co go potem ktoś widział, jak pije alpagi na Sadybie). Tak się nie mówiło do Siwego. I przede wszystkim – tak się nie mówiło do Patryka. Stópka po stópcie odsuwaliśmy się od ławki.

Tyle że Olgierd to był Olgierd, najdziwniejszy chłopak na ulicy, może

najdziwniejszy na osiedlu. Ubierał się jak lamus, w jakieś sweterki i spodnie w kant, chodził do technikum samochodowego i gadał czasem, jakby był pół dziewczyną, pół nauczycielem, ale też najlepiej grał w kosza, prawie najlepiej w nogę i naprawdę znał karate. Nie tak jak my, kopiujący Wejście smoka na dywanie w dużym pokoju, tylko normalnie któryś rok trenował i zmieniał te kolory pasów jak cienkie swetry, z których się śmialiśmy, gdy już poszedł. To karate ze dwa razy ktoś sprawdził, tak długo popychając Olgierda i rzucając takie teksty, aż tamten uznał, że już, że można. Raz widzieliśmy to wszyscy: koleżka kopnięty w brzuch i szczękę, szybciej, niż o tym opowiesz, złożył się jak wachlarz. I Patryk też to widział, dlatego przydeptał peta i charchnął, jakby miał wypluć żabę.

A Wiśnia szedł niemal „stópkami”, kiwnął nam głową, skupiony na torbie, w której pływało coś niedużego i sreb-rzystego. Wymijał nas tyczkowato, jak w slalomie gigancie, śmiesznie uginając chude nogi. Nagle musiał stanąć, bo wyrósł przed nim Patryk wpatrzony w foliówkę z rybą.

– Kardynałek?

Wiśnia się bał, jego wielkie oczy zrobiły się prawie nieludzkie, milimetrów brakowało, żeby dotknęły brwi i nosa.

– Chiń... chiński – oddukał.

Patryk się uśmiechnął. I wbił palec wskazujący w torebkę. Najpierw tylko się ugięła i objęła jego krótki paluch, ale potem puściła. Wiśnia próbował uciekać.

– Ani, kurwa, kroku!

Ktoś z nas szepnął:

– Daj spokój...

Ale Patryk tylko syknął:

– Morda! – I uśmiechnął się do Wiśni, a woda leciała na chodnik, łącząc morza naszej śliny w ocean.

Kardynałek chiński też by wyleciał, ale palec Patryka go zatrzymał. Wiśnia płakał, nie wiem, z upokorzenia czy z żalu nad rybką, ja czekałem na Olgierda, na karate, na meteoryt spadający prosto na jajowatą głowę Patryka i rozłupujący ją na dwie krwawe, jednookie pacynki.

Meteoryt nie spadł, a Olgierd wzruszył tylko ramionami w fioletowym swetrze w serek. Widocznie dziewczyny obchodziły go bardziej niż ryby. Kardynałek miał dwie płetwy na brzuchu i jedną na grzbiecie, złotawobrazowe. I bił nimi jeszcze z minutę. Aż zszarzał, cała jego srebrzystość zrobiła się matowosiwa.

– Spierdalaj! – rzucił Patryk i usiadł na ławce, wziął od kogoś papierosa.

Ale Wiśnia jeszcze chwilę postął, wyjął martwą rybkę ze sflaczałej torebki i rozejrzał się, bo chodnik był naprawdę ciekawy, ze strużkami wody i śliny łączącymi się w rozlewiska i sunącymi między połamanymi płytkami jak dopływy Amazonki. W końcu wziął kardynałka i poszedł. Niósł go w otwartych dłoniach jak chleb na weselu. Poszedłem za nim, tyle zrobiłem, poszedłem za nim. Pod pachą prawej ręki niosłem piłkę – kopię azteki z mistrzostw świata w Meksyku. Nie wiedziałem, co zrobić z lewą, w piłkarskich spodenkach nie miałem kieszeni. Może położyłem ją na ramieniu Wiśni? Raczej nie, nie pamiętam, niech mi ktoś wybaczy.





To nieprawda, że w pustych mieszkaniach jest tylko smutek. Korzystając z tego, że okna są stare i wypaczone, a rygielki klamek nie pasują już do metalowych objęć tak jak czterdzieści lat temu, uchylamy lufcik. I nie zważając na zacieki, na ślady po gołębiach, wróblach i wronach, wlatujemy do środka. Mieścimy się bez problemu, wszak jesteśmy tylko spojrzeniem czytelnika. Albo jeszcze szczuplej: jego myślą. Znajdujemy się w małej kuchni, bo kuchenne odrapane okno wychodzi na podwórko. Stół jest przykryty ceratą w kolorowe kwiaty. Barwy nieco wyblakły, ale kształty ciągle przypominają roześmiane buźki, z tych, jakie rysują utalentowane plastycznie ośmiolatki. Naprzeciwko stoi kuchenka z lat osiemdziesiątych. Na niej złotawy czajnik. Bez przykrywki, na pajęczynie w jej miejscu mieszka nieduży pająk. Ściany pomalowane były kiedyś jasnoróżową farbą, ale tego można się tylko domyślać po samotnych płatach pozostałych gdzieniegdzie. Wyglądają jak plasterki na otarciach kolan ośmioletniej dziewczynki, które odlepiły się z jednej strony w trakcie zabawy.

Jest oczywiście cicho. Żyrandol, chyba jedyna cenna rzecz w tym pomieszczeniu, oczywiście nie świeci. Jest brązowy i rzeźbiony w arabeski. Wygląda to na ręczną robotę. W jego dwóch ramionach siedzą przepalone żarówki starego typu. Wolframowe pręciki pękły i wyglądają jak dmuchawce po wietrze. Trzecie ramię kończy się tylko oprawką i drobinami szkła. Betonowa podłoga przykryta jest plastikową wykładziną pasującą bardziej do łazienki, gumowe różnokolorowe paski połączone są drutem. Chwilę po naszym wemknięciu zza chmur wyszło wrześnie słońce i przykurzony plastik rozbłysnął: fiolet, żółć, czerwień, zieleń i błękit. Parominutowy neon dla nikogo. Chciałoby się tę kuchnię zgłosić do konkursu najpiękniejszych opuszczonych kuchni.

Kiedy Lena tu mieszkała, było oczywiście trochę inaczej. Trochę czystiej i trochę głośniej. Na parapecie stało prostokątne radio z przekrzywioną anteną, która parodiowała drzewo widoczne z okna, też przechylone w prawo, jakby przyglądające się temu, co dzieje się w kuchniach starego brzydkiego budynku. Przez tę antenę do głośnika wciekały rozmowy i piosenki Programu Pierwszego Polskiego Radia, ustawionego na stałe. Chyba jeszcze na falach długich. Sprawdzilibyśmy to, naszą wspólną zmyśloną dłonią przekręcając gałkę, ale gdy Lenę zabierano, zniknęło też radio. To się zdarza. Choć odbiornik nie był nic wart. Może to, że akurat w tamtej chwili był rozkręcony na cały regulator, aż się zdawało, że kuchnia pęcznieje od dźwięku, pęcznieje jak brzuch, gdy bierzemy ze strachu wielki wdech, może to było przyczyną? Może ktoś nie wytrzymał i wyrzucił radio przez okno, złamawszy najpierw antenę w tym miejscu, gdzie się kłaniała na prawo? Takie rzeczy zdarzają się wcale nie rzadko, nie wszyscy, zdecydowanie nie wszyscy wiedzą, co zagłusza-ła Lena.

Po drzwiach została tylko futryna pomalowana na biało, zawiasy wyglądają jak dwie zabawkowe próbówki. Za całą ozdobę tej futryny robi parę kresek maźniętych

granatowym flamastrem. Dalej jest krótki, wąski korytarz. Wiśniowy dywanik ma pośrodku wyraźnie wydeptaną ścieżkę. Mijamy łazienkę i wchodzimy do dużego pokoju. No, większego. Nic w tym mieszkaniu nie jest naprawdę duże. Stół, dwa proste krzesła, telewizor na kulejącym stoliku, szafa i regał. Meble są jasnobrązowe, a telewizor ma ucięty kabel, ale i tak nie wygląda, jakby mógł zadziałać. Kanapę przykrywa czarny koc. Kiedy Lena siadała na kanapie, owijała się nim i wyglądała jak poczwarka. I paliła. Dziury i dziurki. Firanki, niegdyś białe, też mają ślady oparzeń. Dziesiątki oczu w otulinie zmarszczek. Jak u starej, niedowidzącej kobiety, gdy próbuje dojrzeć jakiś szczegół. Na podłodze leży najtańsza ramka z Ikei. Połamana. Kurzowi wszystko jedno. Gdy Lenę zabierali, wyszarpnęła z tej ramki zdjęcie, został tylko odrywek w lewym górnym rogu. Wyblakłe błękitne niebo i czubek czyjejś głowy, góra grzywki. Bez wieku i płci.

Lena wprowadziła się w osiemdziesiątym dziewiątym, więc nie wszystkie meble są jej. Może nawet mniejszość. Odziedziczyła je po opowieści sąsiada z piętra niżej. Spod grubego wąsa i kwadratowych okularów brzmiała mniej więcej tak:

– My się bardzo cieszymy, wszyscy sąsiedzi i ja też, że ktoś młody się w końcu wprowadził, bo wie pani, my tu mieliśmy nieszczęścia i starość, tak, to idzie w parze, nieszczęście ciągnie się za starością, tylko te schody, no, kto po wojnie myślał o windach, wie pani, a teraz to i ciężko, i nieporęcznie, chociaż poręcze mamy, he, he, mocne, dozorca robotny jest, czysto, a gdyby coś trzeba było pomóc, wnieść, zgnieść, he, he, to ja zawsze, a jeszcze sąsiad z parteru, stary komuch po prawdzie, ale ma wartburga, więc panią zawiezie i przywiezie, że tak powiem, komuch, ale przecież sąsiad i człowiek, my tu wszyscy ludzie, ten, co tu przed panią, też przecież człowiek, ale no, lepiej dwa słowa mniej niż jedno nadto, więc jakby co, to o, tu, na kartce, jest mój telefon i dozorca, ale lepiej, wie pani, zejść i dzwonkiem zadzwonić, głośniejszy, ja rencista jestem, to w domu siedzę zazwyczaj, tyle co po zakupy i z psem. No to witamy!

Wyrzuciła niewiele. Swoich rzeczy miała garstkę, a pieniądze zawsze mieściły jej się w małej portmonetce po babci. Czarnej, materiałowej, na srebrnym druciku, który kończył się dwiema perełkami tak dopasowanymi, że składały się w ledwo słyszalny zatrask. I tak w ostatniej chwili dostała tę kawalerkę, później już tak łatwo nie dawali. Nawet Lenom.

2

Andrzej nie pił pięć lat. Pięć długich lat wynajdowania sobie zajęć, upychania tej miękkiej części siebie w niepozornych działaniach. W krzyżówkach na tanim żółtawym papierze, w zagadkach szachowych, w dłubaniu w drewnie, tak żeby coś tam się pojawiło, jakieś twarze, sylwetki, ale lepiej budynki, kawałki przestrzeni z kikutami drzew jak na wiatrołomie, często sam nie wiedział co. Byle się wcinać, wgryzać, jak najdłużej zajmować oczy i mózg, nawet się denerwować, wkurwiać nawet, że nie tak, że za głęboko, pod złym kątem, i poprawiać, wygładzać, dorzucać minuty do minut, aż do zmęczenia i snu.

Wprowadził się na to trzecie piętro w drugim roku trzeźwienia. Jako jedyny spadkobierca. Spadło mu z nieba. Wcześniej po zapłaceniu alimentów i komornego

tygodniami jadł makaron z serem na zmianę z leczo z najniższej półki w Tesco. Babka żyła długo, dłużej niż jego rodzice, ale umarła w czas. Zwiózł tu trochę swoich rzeczy, ale nie chciało mu się wiele zmieniać. Czuł się dobrze w mieszkaniu, które pamiętał z dzieciństwa, w pokojach starych ludzi. Lubił te meble, zapach kurzu i dawno nieruszanych książek, nawet stertę kalendarzy z gołymi kobietami, którą znalazł w tapczanie nieużywanym od śmierci dziadka. Obok tego tapczanu urządził sobie warsztat. W zasięgu ręki postawił jeszcze popielniczkę z logo jakiegoś zjednoczenia przemysłu, które nie istniało od dekad. Wyrzucił tylko szkło. Pewnie niepotrzebnie, bo pić można i ze spodeczka, ale któregoś dnia pozbiierał kieliszki do wina, koniakówki i małe kieliszki z wysoką szyjką na delikatnej stópce, wpakował do pudeł i postawił koło śmietnika pod krzywym drzewem. Następnego dnia już ich nie było.

Wracał z pracy przepełnionym 102 o osiemnastej. Na jakiegoś grata byłoby go pewnie stać, ale stracił prawo jazdy dawno temu i jakoś nie znajdował w sobie determinacji, żeby zrobić na nowo. Żył powoli, czekając na weekendy i spotkania z synem, o ile była żona raczyła się na nie zgodzić, a syn akurat zapominał, że wstydzi się ojca, który przetańczył pieniądze i szacunek. Te parę stów, które oszczędzał, odkąd nie płacił za wynajem, szło właśnie na syna. Mimo alimentów. Na nowe korki, strój piłkarski, bilety na mecze Legii, raz na elektroniczny zegarek, który liczył chyba nawet oddechy. Najczęściej upychał w tajemnicy banknoty do plecaka, który syn rzucał w progu. Tak było najwygodniej, pieniędzy wręczanych otwarcie chłopak nie przyjmował. Z takim spojrzeniem, po którym Andrzej spędzał całą noc na struganiu drewna, aż zostawały same drzazgi.

Siedział nad szachownicą, kiedy pierwszy raz ją usłyszał. Najpierw myślał, że to gra radio u kogoś albo tele-wizja, ale dźwięk był nietypowy, mózg nie umiał go dopasować do niczego, co znał. Andrzej pstryknął czarnego konika w łeb, tak że skoczek wylądował u drewnianych zrosniętych stóp białej królowej, zgasił niedopałek i podszedł do drzwi. Śpiewała. Czy raczej – nuciała. Coś, co brzmiało jak dziecięca wyliczanka, w którą powstawiano fragmenty starych przebojów i długie minuty bez słów – na dwóch, trzech sylabach. Czasem przechodziła w szept, jakby opowiadała komuś jakąś historię, za cicho, by mógł zrozumieć. Odslonił wizjer. Siedziała w ciemności i paliła. Gdy się zaciągała, żar oświetlał jej twarz, oczy miała zamknięte.

Kiedy babka żyła, coś mu tam opowiadała, ale nie słuchał uważnie, sąsiedzkie plotki nic go nie obchodziły. Pamiętał imię. I powiedział je sobie teraz półgłosem. Spojrzał na zegarek, druga w nocy. Wzruszył ramionami i wrócił do królowej, konika i bojaźliwych królów, których stać zawsze tylko na jeden mały krok. Ale nawet nie postawił biednego konika na miejsce. Skręcił papierosa i znowu podszedł do drzwi. Klatkowe echo przypominało trochę pogłos w kościele, do którego chodził czterdzieści lat temu. Myślał o kobietach, o matce, babce i byłej żonie. Może jeszcze o kimś. Patrzył przez judasza. Palił i słuchał. Lena siedziała na szczycie schodów, popiół z papierosa spadał jej na szlafrok i kapcie.

To się zaczęło już jakiś czas temu, ale za każdym razem było tak samo przerażająco i dziwacznie. Ocknęła się nagle na fotelu w sypialni i zamrugała oczami, potrząsnęła głową. W rękach trzymała kawałek półprzezroczystego papieru. Spojrzała na podłogę – album ze zdjęciami leżał rozdziawiony w szyderczym uśmiechu.

– No tak, przeglądałam i zasnęłam, stara, zmęczona idiotka – tak pomyślałaby jeszcze parę lat temu.

Podniosła album, zamknęła go i odłożyła na półkę. Zacisnęła nagle pięści i oczy. Nic. Nie pamiętała, żeby brała album z półki, nie pamiętała siadania w fotelu. Pamiętała kuchnię. Kuchnia! Matko Boska! Podreptała przez korytarz najszybciej, jak umiała. Ziemniaki obrane, włoszczyzna w garnku, kurza noga obok ziemniaków na stole. Widocznie nie zdążyła włączyć gazu, zanim to przyszło.

– Coraz częściej – pomyślała.

Spojrzała na ścienny zegar, trzecia, to chyba niedługo, nie więcej niż pół godziny, ucieszyła się na chwilę. Włączyła radio, politycy jak zawsze się kłócili. W rytmie ich pohukiwań dokończyła gotować zupę. Zamyślona wyciągnęła dwa talerze. Staroświecką chochlą nalala rosół na jeden, pokręciła z rezygnacją głową, schowała drugi talerz do szafki. Jadła powoli, patrząc na krzywe drzewo przedrzeźniające jej zgarbienie nad stołem. Wiedziała, że to przypadek, absurd, ale po raz kolejny nie odpędzała tej myśli: to się zaczęło, kiedy zmarła Jaworska i wprowadził się ten jej wnuk Andrzej.

Na początku brała to za konsekwencję samotnego życia. Odkąd nie ma Bogdana, nie ma z kim pogadać, parę słów tu i tam, nawet nie ćwiartka rozmowy. Stąd to zapominanie. Bo zaczęło się od zapominania: co jak się nazywa, czasem – do czego służy. Stała chwilę przed tym czymś jak mała dziewczynka przy tablicy zapisanej zdaniami po łacinie, nim to coś zamieniło się w czajnik, telefon, chustkę. Potem zaczęły się przerwy. Na minutę, na dziesięć, później na więcej – znikąca. Jakby ktoś ją na ten czas zabierał do czarnej przechowalni, a potem jak gdyby nigdy nic wstawiał z powrotem, zdeorientowaną i przestraszoną. Bała się gotować, ale musiała przecież jeść. Bała się kąpać, nalewała do wanny tyle wody, że nie utopiłby się w niej nawet kot.

Chciała zadzwonić do Anki. Ale co? Wróci z Kanady, rzuci wszystko, co tam ma, pracę, przyjaciół, zabierze dzieci ze szkół, bo starą matkę co pewien czas coś wyjmuje z życia?

Zamiast tego odstała swoje w rejestracji i pod gabinetem. Właściwy lekarz okazał się nadspodziewanie miły. Tak--tow--ny. Tak o nim myślała. Bardzo grzecznie i delikatnie, długimi, kunsztownymi zdaniami powiedział: jest pani stara, będzie gorzej. Przepisał leki i zalecił ćwiczyć umysł. Jadła więc pastylki o przerażających nazwach i ćwiczyła umysł. Wspomnieniami. Skoro ma zapomnieć, to niech będzie tego jak najwięcej, tego materiału na nic. Wszystkie złe, dobre i nijakie uczynki. Bogdan, Anka, rodzice i dziadkowie, nawet wojna i głód. Oczy głodnych ludzi patrzących na puszkę amerykańskiej wojskowej wołowiny. I milion takich szczegółów. Jakieś kłótnie w pracy, kochanie się z Bogdanem w hotelu w Gliwicach, gdy na dole w restauracji trwał bankiet, zniszczone i zgubione rzeczy, których strata bolała. Wszystko, wszystko, co się da. Brała często album ze zdjęciami i płynęła za obrazkami, twarzami, za kształtem obrusu, na którym opierał łokieć ktoś, kogo imienia nie pamiętała od lat. Przeskakiwała lata

i kilometry, od miłości, przez błahostki, do rodzinnych dykteryjek. A czasem dalej, w samo gęste, w chwilę, która zdawała jej się centrum życia. Od tej chwili szły odnogi w przeszłość i przyszłość, która dzisiaj też już jest przeszłością. Jakby tam się zaczynały wspomnienia, nie w dzieciństwie, jakby stamtąd wyrastały.

Wypolerowała to wspomnienie. Obracała w myślach tyle razy, że lśniło jak szklana kula, dziecięca zabawka, tylko nie było w niej choinki ani bałwanka. Za to padał śnieg, siedzieli z Bogdanem w kawiarni na Nowym Świecie. Za szybą ludzie w płaszczach i kożuchach przedzierali się przez wiatr i błotnistą śnieżną breję. W środku było elegancko jak na tamte czasy, tylko zadymione, kelnerka przyniosła im kawę. Czekala na tę rozmowę, choć inaczej sobie wyobrażała scenografię. Jej chłopak był poważny i spięty. Mieli to już dogadane, oczami, żartami, pieszczotami, które zawsze kończyły się na westchnienie przed. Choć ona wcale się nie wzbraniała. Więc to tu, teraz, miało być tylko formalnością. Potem pojedą do jej rodziców, kwiaty i cała reszta. Rodzice też wszystko wiedzieli, chłopak był poważny, po studiach, pracował. Gniotła więc torebkę, czekając. Wziął jej dłonie w swoje, potem puścił, zapalił papierosa, upił łyk kawy. Wszystko to zaczynało być dziwne, niepodobne do niego, pewnego siebie i wesołego. Coś ją ukłuło między piersiami. Wycofa się. Coś się stało albo ktoś się stał.

– Wiesz, co chcę zrobić. Wiesz, o co chcę poprosić, ale najpierw muszę ci coś opowiedzieć.

Poprosiła o papierosa, nie umiała go jednak palić, prychnęła tylko dymem, z oczu popłynęły łzy, zgasiła.

– Nie bój się, znasz mnie, kocham cię, ale musisz mnie wysłuchać, bo nie wolno ukrywać prawdy przed kimś, z kim chce się przeżyć życie.

I opowiedział. Pałac, przystając, jakby musiał wyciągać z siebie tę historię siłą. Pewnie tak było. Wcześniej nie rozmawiali o wojnie i tym, co dawniej, minęło dopiero dziesięć lat, nie każdy chciał opowiadać. Wiedziała, że był wojennym sierotą, że w czterdziestym piątym wylądował w domu dziecka, potem studia, tyle. A teraz jej opowiedział, chwilami na pozór beznamietnie, jakby niepotrzebne emocje miały zerwać historię. Nitkę, która owijała tajemnicę. Były czerwone cegły w tej opowieści i światło przez szparę desek, strach taki, że zapominasz oddychać, dwie dziewczynki, chłopiec, obce nazwy, słowa, których nie ma już kto używać, płomienie, ucieczki, śliskie uśmiechy i spokojna przemysłowa nienawiść. I śmierć. I życie, co się wyslizgnęło śmierci jak mała, chuda rybka, przypadkiem, setką przypadków, które – jeśli je połączyć w jednej historii – brzmią jak opowieść Münchhausena w ciele chłopczyka, co widział wszystko, do kości.

Objęła go i płakała, ludzie patrzyli na nich.

– Kiedy... kiedy jesteśmy sami, jak mam do ciebie mówić? Tamtym... tamtym imieniem czy tak jak teraz, Boguś...? Idiotyczne pytanie, przepraszam, ale nie umiem...

– Wiem. Tamtego nie ma i prawie nigdy nie było. Jest Bogdan, który musiał ci to powiedzieć. Ale nie wpytuj. Wyjdź za mnie. Żyjmy.

Polerowała też inne wspomnienia, mniejsze, nowsze i starsze, choć niekiedy tylko bardziej lub mniej wyraźne, rozwodnione czasem, bez chronologii. Myślała też o Lenie, tej małej, której odebrało rozum. O tym, czy szaleństwo może być zaraźliwe. Wiedziała oczywiście, że nie, że „przecież ja nie oszalałam, psuję się tylko, zacierają się trybiki,

przeciera się materiał” – chichotała rozpaczliwie. Była parę razy w kościele, ale niczego tam nie znalazła. Może była samotna i niepotrzebna, ale nie umiała się przełamać, poddać tym śpiewom, rozmowom, które, widziała to dobrze, przynosiły ulgę innym kobietom w jej wieku. „Cóż, nie jestem z tych, nie działa”. Sumienie we wspomnieniach to wychylało się, to (częściej) chowało. Normalnie, każdy ma winy i grzechy. Ta rozmowa jednak wracała. Właściwie nie rozmowa, parę wykrzyczanych zdań. Lena była już sama, niby się leczyła, ale bywało z nią źle. Dobrze po północy obudził Marię dziwny dźwięk. Skwierczenie. Otworzyła drzwi na klatkę. Dym i ogień. I Lena śpiąca na półpiętrze. Niedopałek musiał jej upaść na wycieraczkę.

– Dobrze, że ci dziecko zabrali! Idiotko ty! Wariaci to w wariatkowie powinni siedzieć!

Lena, zbudzona krzykiem, coś szeptała i pomagała tupaniem ugasić wycieraczkę ze spalonym już napisem „Witamy!”. Zgasło, a raczej dopaliło się, sąsiedzi pozamykali drzwi, a Lena stała z opuszczonymi rękami i włosami sterczącymi na wszystkie strony, wpatrzona w Marię.

Kilka miesięcy później Maria poszła więc do niej. Wzięła ze sobą sernik. Szła przeprosić, zrobić miejsce dla lepszych wspomnień. Lena ją wpuściła, zrobiła herbaty. Marii szło niezgrabnie, ale w końcu powiedziała, co miała powiedzieć. Lena uśmiechała się nieśmiało.

– Ja tego nie pamiętam, pani Mario.

To było ciut za wiele dla starej kobiety, rozkołysało wszystko, co w środku. Rozplakała się pierwszy raz od pogrzebu męża. I opowiedziała jej. O tych chwilach, gdy jej nie ma i nie wiadomo, gdzie właściwie jest, może już tam. O strachu i wstydzie. O tym, jak raz kupiła, chyba kupiła, dwadzieścia paczek marlboro, choć nigdy nie paliła.

– Pan Bogdan palił.

– Tak, i to właśnie takie, ale on nie żyje od sześciu lat! A ja wyszłam do apteki i ocknęłam się w domu z tymi papierosami i prawie pustym portfelem.

Lena słuchała, ale nie zdawała się zajęta opowieścią, jakby jej myśli były równocześnie tu i w wielu innych miejscach. Nagle wstała i przytuliła się do Marii. Jak Anka wiele lat temu, jak dziecko, które przychodzi przestraszone w nocy. Głaskała tę dorosłą kobietę po plecach, bezwiednie.

– Ja... Ja to mam, odkąd Andrzej, ten od Jaworskich, się wprowadził, ja wiem, że to niedorzeczne...

– Nie, to dobry człowiek. Rzeczy się dzieją, zdarzają się. Do widzenia.

Umyła talerz i łyżkę. Sprawdziła, czy gaz pod garnkiem jest zakręcony. Całkiem dziarsko podreptała do dużego pokoju, włączyła telewizor. Usiadła na kanapie, na stoliku obok czekały małe pączki. Przysunęła je bliżej.

Osiem miesięcy przed tym, jak zabrali Lenę, spadł śnieg. Listopad zerkał już z niepokojem za siebie, jak się okazało – słusznie. Grudzień wysłał zwiadowców. Białych i mokrych, bo temperatura wciąż utrzymywała się na plusie. Dopiero wieczorem

podprowadził mróz. I czekał, zostały dwa dni. Ale Grochów był już jego, choćby ludzie rozwiesili po sto kalendarzy na każdej ze ścian swoich mieszkań. Andrzej nie miał żadnego, aż do teraz. Na stole w kuchni leżała rozdarta koperta, paręnaście kart świątecznych i nie większy od szkolnego zeszytu ścienny kalendarz. Na każdy miesiąc przypadała jedna reprodukcja. Martwe natury, kwiaty, pola ze snopkami i wiatrakami, zimowy pejzaż. Przypominało to wystawę prac najzdolniejszych uczniów liceum plastycznego. „Ładne” – to słowo chyba by wypowiedział, gdyby miał do kogo. Tylko majowy obrazek się wyróżniał: łódka na jakimś jeziorze i wielkie zachodzące słońce wyraźnie inspirowane impresjonistami. „Malarze malujący ustami i nogami”.

Pamiętał dobrze ten nagłówek. Co roku, dopóki żyli oboje dziadkowie, a potem już sama babcia, dostawali taką kopertę. W środku był jeszcze przekaz pocztowy na trzydzieści złotych. Trzeba było tylko odesłać. Malarze malujący ustami i nogami wierzyli w ludzką dobroć i miłość do sztuki. W przypadku dziadków Andrzeja, niebogatych przecież, słusznie. Na odwrocie kalendarza umieszczono zdjęcia autorów przy pracy. Dwanaścioro kobiet i mężczyzn z pędzlami w ustach i między palcami stóp. Od godziny pił zimną herbatę i patrzył na fotografie. Domyślał okrutne historie życia każdej z malarek i każdego z malarzy. Czuł coś pomiędzy przygnębieniem a oczywistym podziwem. Mimo woli pomyślał o swoich „rzeźbach” i skrzywił usta. Drzewo za oknem zdawało się przechylać bardziej niż zwykle, przygięte czapami mokrego śniegu. Na burobiałym trawniku dwa czarne, niemal fioletowe gawrony szperały w poszukiwaniu czegoś w przegniłej trawie. W świetle chudej porzewiałej latarni zostawiały za sobą wydreptane wąskie ścieżki, jak szlaki na średniowiecznej mapie. Przyszło mu nagle do głowy, że mogłoby to być pierwsze ujęcie mrocznego kryminału. Śnieg, truposzowate drzewo, latarnia i jej kaprawe oko, gawrony całkiem jak kruki. Potem kamera wjeżdża do jego kuchni i przyłapuje go pochylonego nad obrazkami rozłożonymi na stole. Ponurego i zarośniętego. Tylko te reprodukcje nie pasują. Powinny tu leżeć zdjęcia z miejsca zbrodni albo chociaż fotografie przyszłych ofiar – zrobione z ukrycia, z twarzami zakreślonymi czerwonym flamastrem. Tuszowe aureole. „Będziecie kryminalnymi świętymi, męczennikami wieczornej rozrywki co pół godziny przerywanej reklamami”. W myślach otoczył głowę jednej z malarek czerwonym kółkiem, nie widział jej twarzy, była odwrócona w stronę obrazu, który malowała, ale jej zgarbienie, skurczenie się w sobie przypominało mu Lenę nucącą na schodach. „Co to za myśli?!” Potrząsnął głową i wstał. Wyjął z portfela dwa banknoty i położył na przekazie. Wtedy zapukała.

Tamtego pierwszego wieczoru przyniosła piwo. Trochę zakłopotany wytłumaczył jej co i jak. Uśmiechnęła się i to był cały jej komentarz. To mu się w niej podobało, delikatność i wycucie. Pili herbatę albo kawę. Przynosiła czasem słoik rozpuszczalnej i to też wydawało mu się naturalne. Podobnie jak to, że spotykali się tylko u niego. Tak się przyjęło. Przychodziła parę godzin po jego powrocie z pracy, dając mu czas na odpoczynek i prysznic. Kiedy się nie zjawiała, a miał ochotę się z nią spotkać, pukał cicho do jej drzwi i wracał do siebie. Po półgodzinie, trzech kwadransach przychodziła. Tak zimowali. Siedząc w kuchni, częściej patrząc w okno niż sobie w oczy, albo na kanapie, oglądając coś w tele-wizji.

– Masz syna, prawda? Widuję go czasem. Ile ma lat?



– Jedenaście. Ale nie lubię rozmów o dzieciach.

– Ja też.

To Lena poprosiła go, żeby pokazał jej swoje dłubanki. Sam by na to nie wpadł. I tak czuł się głupio.

– O, a to jak połamany rower!

Uśmiechnął się.

– To chyba miał być jeleń, ale może być rower.

Patrzył, jak oglądała te nowsze i te stare, które wyciągnął z pudła. Patrzyła też rękami, ścisnęła, głaskała nierówności, jakby zamierzała odkryć coś niezauważalnego dla oczu. Bez skrępowania opowiadała o szpitalu, o pogorszeniach (takiego słowa użyła). Najsmutniejsze historie opowiadała tak, że brzmiały zwyczajnie. Rewanżował się opowieściami o odwyku, o trzeźwieniu, ale czuł, że robi to zupełnie inaczej. Jakby jego uzależnienie, choroba nie mogły być opowiedziane w inny sposób. Drżał mu głos i drżały dłonie, przerywał co pewien czas, jakby brakło mu oddechu. Jego opowieści były, choć tego nie chciał, zachłanne. Pragnęły jej uwagi, próbowały ją zwabić do środka. Gdy to zauważał, przerywał na dobre i zmieniał temat. Albo proponował, żeby obejrzeliby jakiś film, kabaret.

Któregoś dnia w lutym na schodach zagadnął go wścibski rencista z drugiego:

– A co to za schadzki, sąsiedzie, he, he? Chce nam pan uwieść naszą Lenę? Wie pan, ona nie całkiem...

– Jaka ona wasza?! – przerwał, niespodziewanie dla samego siebie wściekły. – To pańska córka może? I ona jest bardziej całkiem, niż pan kiedykolwiek byłeś!

To pokraczne zdanie dźwięczało mu w uszach, gdy już ochłonał u siebie. Bo przecież nie była „całkiem”, zupełnie nie. Była polepiona ze skrawków, a część z nich była czarna, aż strach. I w końcu zadał sobie to pytanie: czego od niej chcesz, człowieku? Naprawdę chcesz ją uwieść? Mimo gniewu uśmiechnął się do siebie. Jak oni nic nie rozumieją, nie znają jej. Była kobietą, to widział każdy, ale... no nie w taki sposób, jak ten obleśny dziad myśli. Przecież oboje są za starzy i za pogmatwani na romans. W dodatku Lena naprawdę koiła mu się ze wszystkim, tylko nie z seksem, nie z cielesnością. Co to jest w takim razie? To siedzenie, gadanie, szachy, słodzenie sobie nawzajem herbaty? Przyjaźń? Wiedział, że to nie do końca odpowiednie słowo, ale odpowiedniejszego nie było.

Przez cały wieczór nie mógł sobie znaleźć miejsca. Jakby miał fantomowego kaca. Tak już bywało, na widok butelki wódki pocił się, zataczał, bolała go głowa. Mózg, pływający tyle lat w alkoholu, potrafił nie takie sztuczki. W telewizji był jakiś mecz. Patrzył na dwudziestu dwóch facetów biegających za piłką jak na mrówki albo majowe chrabąszcze, nie bardzo wiedząc, kto z kim gra. W końcu wstał i szurając kapciami, wyszedł na klatkę. Zapukał, postać chwilę, nasłuchując, wytarł spocone dłonie o spodnie i wrócił do siebie. Nie przyszła tym razem. I przez parę następnych wieczorów. To się już zdarzało. „Pogorszenie”, mówiła wtedy i rozmawiali o czymś innym, jakby to było przeziębienie, normalna niedyspozycja. Ale teraz się zastanawiał. Może ten kretyn i ją dopadł na schodach? Coś jej nagadał? Rzeźby rzucał w kąt po paru minutach, pionki szachów zdawały mu się zębami wyszczerzonymi w złośliwym rechocie. Czuł się winny,

jak dawniej po kilkudniówce. I wściekły na siebie, bo nie było przecież żadnej „winy”.

Przyszła po tygodniu. Jak często bywało, w szlafroku. Z tym wzrokiem, który go rozczulał i którego się trochę bał. Usiedli do szachów. Nie wiedział, czemu to zaproponował, może, żeby się jej przyjrzeć. Lena grała źle, niektóre jej ruchy były całkiem absurdalne. Spytał ją kiedyś o to. Odpowiedziała, że pewne posunięcia po prostu jej się podobają. Są ładne. Przejazd gońca niemal przez całą szachownicę po skosie, dwa koniki schowane za wieżą, jakby uwiązane, rosza. Teraz było podobnie. Grali, z telewizora dobiegał śpiew jakiejś dziewczyny. Zapełniali popielniczkę i mówili mało. Gdy myślał nad następnym posunięciem (jak gdyby miało to znaczenie w grze z Leną), poczuł jej wzrok na sobie. Podniósł głowę w niemym pytaniu.

– Czasem nie biorę leków, żeby być bardziej. Bardziej sobą. I bardziej z tobą.

5

Lament Leny jest z drobnicy. Słowa rozbłyskują w żarze jej papierosa i uderzają o zimne schody, rozpadając się na ćwierci sylab, już nieodróżnialne od kurzu i popiołu. To są małe, koralikowe słowa, rozsypujący się różaniec z liter:

– ...i on się pyta, czy wolę żyć, czy palić, renatko, odpowiadam, że palić, la, la, la, la, renata, najstraszniej, jak człowiek dotknie głowy, obejmie i czuje dokładnie tę biel, tra, la, la, la, kupuję rzeczy, których nie jem, jem rzeczy, których nie ma, la, la, la, la, renatko, gratko, wariatko, latko, wiosna, kwiaty i wazon, tylko jedno zdjęcie, renatko, chodzę do niego na szachy i ciasto, oddałabym wszystko, renata, i oddałam, tra, la, la, la, renatko, jesień wbita w ciepły dzień, tylko u mnie, u nas, w kuchni, stuknij, puknij, la, la, la, la, li, li, li, li, maluśki, maluś...

Szeptana melodia lamentu unosi się i opada. Tak nucą nikłe przeciągi, pokurczone, nigdy niedorośle rodzeństwo prawdziwego wiatru. Rytm jest nierówny, niektóre sylaby i słowa rozpychają się i puchną tak, że następne są cienkie jak warknięcia i świsty. Pogłos klatki schodowej powtarza je jeszcze ciszej, układa w duszne kadencje, w solo na stare mury.

U Andrzeja słyhać dobrze, zresztą stoi przy drzwiach z okiem centymetr od wizjera. U Marii to ledwie szmer, parogodzinne zepsute radio. „Radio Lena lamentuje za nasze grzechy”, myśli Maria, sprawdzając, czy zakręciła gaz.

## Listy

Listy umarłych do umarłych. Niedzisiejsza kaligrafia, zawijasy, indywidualność liter, jakby każdy z piszących miał trochę własnego języka. Słowo „rozstanek”, którego nie umiem przyporządkować do żadnej gwary, więc mogę udawać, że to rozstanie wbite w poranek gdzieś w Pińsku albo w Gliwicach, ktoś poranną godziną kogoś żegnał. By móc później pisać listy. Wujek D. miał uroczą skłonność do nadawania nazwisk częściom swojego ciała. Prawa ręka to była pani Ząbkowska, lewa – pani Targowa. I kiedy pisał do dziadka, że zaciera Ząbkowską i Targową, to żartował, ale ja, gdy to teraz czytam, czuję, tu, na Kępie, jak drżą i walą się stare kamienice naprzeciw budynku totolotka. Albo: „...Przebieram -Kijowską i Mińską na myśl o spotkaniu L...”. Nie wiem, kim była L. Wyobrażam ją sobie w eleganckim żakiecie, jak czeka na wujka w kawiarni, w dymie papierosowym, a z sąsiednich stolików łowią jej profil zazdrosne męskie spojrzenia. W końcu zjawia się wujek D., przeprosza za spóźnienie – tramwaje znów stanęły. Zakłada Mińską na Kijowską, zamawia dwa winiaki, skupia na sobie nienawiść z kątów kawiarnianej sali i opowiada te swoje dyrdymały, zastępując pisemne zawijasy systemem mrugnięć i postukiwaniem paznokcia w brzuchaty kieliszek. Nie jest już młody, ale pod nieco kobiecymi rzęsami kryją się roześmiane czarne oczy. Do tego zawsze garnitur i krawat. Nawet po bułki rano. A teraz pod lipcowy wieczór jeszcze jakieś perfumy przysłane przez przyjaciela z Anglii i obowiązkowa papierośnica. Z zatraskiem, który odskakuje z cichym jęknięciem. To działa. Wiem z listów, że działało albo przynajmniej wujek mocno w to wierzył i utwierdzał w tym przekonaniu dziadka. Żadne tam dosłowności, relacje kończyły się zazwyczaj na ostatnim łyku kawy czy koniaku. Równe marginesy były w tych listach po to, żeby sobie dopisać w myślach zwieńczenia. Potem płynnie do przyziemności, do cen, do pensji, do zimowych palt, które trzeba będzie niebawem wyrzucić, bo prześwitują już przez nie panie Ząbkowska i Targowa. No i rodzina, rodzina, rodzina. Kto kogo odumarł, porzucił, komu się poszczęściło w mądrych dzieciach, awansach czy nawet w kartach. Relacja z lekkoatletycznego meczu, sto tysięcy ludzi oklaskujących Sidłę i Kirszensteinównę, podziw bijący z zawijasów wujkowego pisma, zapach spoconej publiczności, echo emocji w wykrzyknikach.

Listy umarłych do umarłych. Nie przedpotopowe, które się czyta jak powieść, tylko listy tych, których znałeś jako starców, pisane, gdy byli jeszcze w środku życiowego zamieszania, gdy turkotały jeszcze trybiki dawno już dziś znikłych maszynerii. Temu się pożyczyciło, tamtą próbowało uwieść, z innym na konie i popijawę w taniej knajpie. Z tyłu piszących głów musiał być Pińsk, czterdziesty pierwszy, czwarty i piąty, Warszawa – ale o tym raczej w aluzjach, w „ty wiesz i ja wiem”. Tylko czasem ze zdania wypadało czyjeś ciało, ktoś został i nigdy nie wrócił, jakiś Andrzej, który po prostu zaginął i nie wiadomo nawet, czy w Sojuszu, czy w Iranie.

Siedzę z tymi listami, palę jednego za drugim i włożę im w tamten czas, w ich buty i krawaty. Siedzę za nich w kawiarni albo jadę do Poznania oglądać jakieś maszyny. Nie mam pokusy, żeby coś pozmieniać, napsocić im jakimś anachronicznym słowem, błysnąć

fleszem telefonu w środku zabawy sylwestrowej sześćdziesiątego szóstego na sześćdziesiąty siódmy. Wszystko robię tak samo, oczy mi szerniały z wodnego błękitu w wujkowy mahoń, mam nogi i ręce noszące nazwiska, nazwy ulic, pstrykam zatraskiem papierośnicy jak haftką biustonozą. Nie wychylam się z ich ciał i myśli, człowiek w człowieku, by patrzeć i być. Nic więcej nie mogę i nic więcej nie chcę, gdy ktoś dzwoni do drzwi, walę Mińską w kant nogi biurka.

Kartki żółkną, atrament i tusz blakną. I tak powinno być: listy spóźniałskie w stosunku do ludzi, jednak za nimi podążają, idą w podobną rozsypkę. Tak powinno być. Ale ja układam je i skanuję. To jedno z tych cudownych i absolutnie bezsensownych zajęć, które lubię. Jak zbieranie drobiazgów, przepisywanie ręcznie cytatów z książek, opisywanie zdjęć, do których zagłada się raz na parę lat.

W październiku czterdziestego czwartego roku W. pisze do swoich rodziców, żeby nie upadali na duchu. Żeby się nie martwili, bo praca jest do wytrzymania i dostali z A. paczkę od rodziny z Brudzewa. Dziś dom w Brudzewie stoi pusty, o ile jeszcze stoi. Dziś adresaci leżą albo w Gliwicach, albo na Woli. W. i A. na pewno na Woli, na ukos, gdy się patrzy z progu cerkwi. Próbuję wynaleźć jakiś morał, coś, co by nie było tylko podglądaniem zmarłych, widzę, że pismo W. jest podobne do pisma mojej siostry, że gdy pisze o A., to tak, jakbym ja mógł pisać o tobie. I niewiele więcej. Pojawia się jakiś Siergiej nazywany bratem. Nic mi o takim nie wiadomo. Siergiej z Berlina – a rok jest czterdziesty czwarty, kolejna tajemnica, której już się nie rozwikła.

Dotykam cię, by się wynurzyć na chwilę, najstarszym sposobem wypłynąć nad taflę wody. W oddechu jest zapach twoich włosów, hałas jakichś robót drogowych na Zwycięzców, pisk hamującego sportowego samochodu gdzieś na Walecznych. Skanujemy, czytamy, brniemy dalej. Akty chrztu, w większości katolickie, ale i takie tłumaczone z rosyjskiego. Pamiętam smutny uśmiech A., gdy pytałem:

- Babciu, a w dzieciństwie to chodziliście do cerkwi czy kościoła?
- A co to za różnica?

Jest tego pamiętania trochę, teraz się otwiera, tak jak się teraz żałuje, że się nie pytało więcej. A. w kolejnym liście z robót pisze, że Anka i Hanka nie żyją. Ktoś przyniósł wiadomość. Na znaczku Hitler sroży groteskowy wąs. Kopią ziemniaki, jedzenia niemal starcza, tylko wychudli mocno: „...ręce mam jak patyki i nos mi się wydłużył...”. Uśmiecham się do twojego profilu, nie możesz dziedziczyć po mojej rodzinie, a przecież wiem ze zdjęć młodej A., że jesteś do niej podobna. Fala niespodziewanej czułości, jak po piątym piwie: i prawdziwa, i sztuczna naraz. Obejmujemy się, bo wiatr hula w Brudzewie, bo blaknie atrament listów i rwą się żółtordzawe rogi kenkart, ausweisów i aktów chrztu.

Nadmiary. Czasu, słońca albo grudnia. Deszcz w śniegu i śnieg w deszczu, nikomu niepotrzebna godzina dwudziesta druga, poniedziałek. Zmyślony pan Rojcek mówi:

- Chciałbym mieć trzecią nogę, żeby kopać po dupach tych leni!
- Ależ masz pan trzecią nogę – śmieje się ktoś ze zmyślonego tłumu – tylko nie do kopania ona, panie Rojcek!

Jeszcze tu nie było ulic, tylko łąki, paręnaście drzew i drewniane domy, i wilgoć brała Kępę w posiadanie. Sezon zabaw się kończył, pustoszały szynki, nawet Pod Dębem

nie grali już Cyganie. Wody zresztą było więcej, otaczała to miejsce ze wszystkich stron, ani myśląc o wale, asfaltowych ulicach i tramwajach. Z nadmiaru wilgoci, z przesady mokrej piszę do Ciebie jak z podróży. Jak gdybyś była dalej niż parę kroków przez korytarz. Zza wody piszę do Ciebie, z Nadmiarów Wielkich, które są oczywiście zapadłą dziurą. Wodny burmistrz strzepuje tu płatki śniegu ze swojego lejącego się płaszcza, gwiazdy tutejsze to bąble świecącej wody, a barmanki podają tonik w piwnych szklankach. Obiady się jada zimne jak śnieg i tak jak śnieg szybko rozplływają się w ustach, nie sycąc nikogo. Stąd łaknienie i oczywiście tęsknota, bo mimo wszystko jesteśmy z tego małego gatunku, który tęskni, nieustannie. Mamy tu w związku z tym wysoką śmiertelność i od groma mistyków. Wszelkie systemy, religie i przeczucia zwały się w stateczną, choć ciągle rozszerzającą bieg rzekę.

– Lete! – mówi zmyślony pan Rojcek.

– A gdzie tam! – oburza się zmyślony tłum.

Zmyślony i przemoczony do suchej czerwonej nitki. Zalani w trupy pseudokabaliści. Rozplływamy się, chłopiec w marynarskim ubranku puszcza po nas łódkę z kory.

Podwójne znaczenie słowa „stos”. Przedemną stos listów, dokumentów, kartek. Wystarczyłby żar papierosa. Wszystkim już dałem drugie cieniście życie w pamięci komputera, a nawet w chmurze netu. Ale wciąż na nie patrzę. Cała bezradność w jednym miejscu, wszystko to nie waży nawet pół kilo. Wyciągam te powojenne, o majątku ciotki--prababci, słynnej matematyczki. Wtedy słynnej. Nie ma jej nawet w Wikipedii. Dziadek koresponduje z jakąś panią prawnik w sprawie spadku. Nieudolną, jak się zdaje. Został jeden zegarek, ale bez dewizki z grawerunkiem. Zepsuty. Pamiętam go z dzieciństwa, leżał na biurku dziadka tuż obok popielniczki z rysunkiem nagiej kobiety owiniętej w martwego lisa. Nie odmierzał żadnego czasu. Po śmierci dziadka dało się go drugiemu wujkowi, temu, który siedział nie wiadomo za co. Też już umarł.

## Spacer

To wyglądało, jakby rdza była w defensywie, wbrew nauce i przyzwyczajeniom. Zdawało się, że wisiała tu wcześniej, a biała farba i metal ją narosły. Cały budynek nie sprawiał dobrego wrażenia, ale uwagę przykuwała ta smętna, zardzewiała antena satelitarna, sądząc po prawie nieczytelnym już napisie z nazwą dawno nieistniejącej firmy – powieszona tu dwadzieścia lat temu. Ktoś wtedy był tu jeszcze ciekaw świata, rozrywki, miał nadzieję albo przynajmniej chciał ją mieć. Ale dwadzieścia lat to kupa czasu, tony deszczu i setki tysięcy kilometrów na godzinę wiatru od Wisły. Miliony liter w nekrologach i klepsydrach. Liter zawsze jest najwięcej. Teraz ten ktoś, kto jednak uprał niedawno firanki i podlał pelargonie, nie może już albo nie chce dbać o całą resztę. Ukruszony tynk, zacieki, ruda balustrada balkonu i nad nią ten talerz, z którego spożywa się wiadomości, filmy i teleturnieje. Ciekawe, czy działa. A jeśli, to co przekazuje na ekran tele-wizora Thomson albo Curtis? Obszarpanego prezentera w wyblakłym, pełnym pajęczyn studiu? W zmarszczkach i głębokich bruzdach czai mu się pewnie wieloletni cień, porusza ustami, ale wydobywają się z nich tylko zgrzyty i szумы, czasem, naprawdę nieczęsto, udaje się z tego wyłowić fragmenty zdań, ale niusy też są przeterminowane i zetlałe. W jego słowach trwają jeszcze dawno zakończone wojny i przeniecowane sojusze, gwiazdami pop są dzisiejsi nieboszczycy, a internet jest niejasną i trochę niebezpieczną nowinką. Gdy przyjrzesz się dokładniej, zauważysz, że mężczyzna zamiast włosów ma zeschlą brązowosiwą trawę, w miejscu brwi kłębki brudnej waty, a w ustach ledwie cztery poczerniałe zęby. Z podartych rękawów marynarki bez koloru wychylają czułki żuków. Kurz na porysowanym stole podnosi się co chwila, jakby ktoś puszczał dym z przedpotopowej scenicznej maszyny. Facet jest śmiertelnie zmęczony, poprzecieranymi do szarości źrenicami w zardzewiałych tęczęwkach wpatruje się w śmiesznie wielką kamerę, za którą od dawna nikt nie stoi. Światło w studiu przygasa i wraca jak w przeciwatomowym bunkrze z katastroficznych ramot. Chyba najchętniej wstałby i skończył tę mordęgę, ale wie, że przy pierwszym kroku po prostu się rozsypie. Może na dzień swojego zmęczenia wierzy, zgodnie z jakąś telewizyjną teologią, w zmartwychwstanie w nowoczesnym, przeszklonym studiu BBC, Al--Dżaziry albo Russia Today, ale nie ma odwagi spróbować.

Pod balkonem z talerzem był oczywiście kot. Czarny z białym krawatem uciętym tuż za węzłem. Trochę na mnie patrzył, a trochę drzemał, w tej przedziwnej kociej gotowości, na pozór leniwej, która potrafi w ułamek sekundy przekształcić się w skok, ucieczkę albo atak. Ludzie zatrzymali przy sobie koty chyba po to, by mieć na co dzień trochę tajemnicy, czegoś, co nie będzie wielką religią, tylko powszednim obcowaniem z niepewnością. Może zastępują im domowe duchy i skrzaty. A zresztą co za różnica? Powinienem być w innej części miasta, powinienem myśleć o czymś innym, wykonywać czynności, których się ode mnie oczekuje. Tam, za rzeką, jest obiad uśmiechniętych ludzi, jedno nakrycie czeka na mnie jak na niespodziewanego gościa. Jakby to była -Wigilia. A ja znowu się zakałapućkałem w patrzeniu. „Zakałapućkać” to z gwary mazowieckiej chyba, tak mówiła babcia Zosia: „zakałapućkać” i „wkantopić”, czyli schować gdzieś, nie

wiadomo gdzie. W jej starym ceglanym domu nie było wiele miejsca, żeby coś wkantopić. Piec, pierzyna, święty obraz, monidło. Chyba że w obejściu, u krówków, świnków, kurek. Kot mieszkał tam w stodole, choć wolałby w spiżarni. Ta spiżarnia była wykopana na podwórku, z cegieł nadbudówka, a reszta pod ziemią. Urodził się w niej mój ojciec, bo stary drewniany dom wzięła ze sobą ofensywa Armii Czerwonej. Ja, miastowy chłopak, bałem się tam schodzić, ale szedłem karnie z babcią po ziemniaki albo jakieś weki. Gdy mi opowiedziała o tym rodzeniu tam, nie uwierzyłem. Dziś sobie myślę, że też jestem z tej głodowej piwnicy roku czterdziestego siódmego, z wilgotnej opowieści. Od lat nie ma po tej piwnicy śladu, i nawet powojennego domu nie ma, rodzina zbudowała tam coś „miejskiego”, coś bardziej na nasze czasy. Rano mgła idzie od pól i wtedy pojawiają się znowu piwnica, ceglany dom, a nawet ten drewniany, rozstrzelany z armat i cekaemów – dom biednych mazowieckich gospodarzy, parę hektarów bardziej piasku niż ziemi.

Kiedy babcia Zosia umarła, leżała w odświętnym pokoju. Wszystko było jak sto i dwieście lat wcześniej. Baby płakały i śpiewały w środku, mężczyźni palili na zewnątrz, tyle że już przy samochodach, nie przy wozach. Wszedłem się pożegnać. Duszno od świec, duszno od śpiewu, wszystko bardzo katolickie, wiejskie, a jakoś pogańskie przecież – biały śpiew, te kobiety tylko zawodzeniem bardziej żywe od zmarłej, dym i półmrok. Nawet błękitno-oki Jezus z obrazu w tym świetle nabrał zmarszczek i posępności i upodobnił się do swojego Ojca. Miałem wejść i wyjść, ale mnie zamknęło coś w środku, stałem i nie mogłem się ruszyć od tej melodii i płaczu, patrzyłem na babcię i wyobrażałem ją sobie w tej piwnicy, zamiast świecy trzymającą noworodka. Też pewnie były tam baby, może nawet te same co dziś, wiejskie kobiety, starzejące się tylko raz, a potem trwające bez wieku. Krzyk dziec-ka musiał się odbijać w małym pomieszczeniu, zimno, bo to początek wiosny, pachnie ziemniakami, stęchlizną i nowym życiem. Kiedy w końcu wyszedłem do palących mężczyzn, czułem, jakbym przekroczył próg stu lat, może więcej. Mgła szła od pól. „Naszych” i Krawczyków. Przy spiżarni siedział kot, obok leżała mysz z przegryzionym karkiem. Ten kot tutaj, kot spotkany na spacerze, też mruży oczy w szyderstwie, nic się nie zmienia, wiatr niemal nie wieje, bo niby dla kogo?

## Szlugi

Pamiętam każdego papierosa, którego wypaliłem. Nieprawda. Oczywiście, że nieprawda. Ale chciałbym pamiętać. Chciałbym zapomnieć wszystko inne, a nadać znaczenie temu, co ma mnie zabić. Oczywiście umrzeć od głupstw – to również ma swój powab. Mimo to wolałbym pamiętać.

Pamiętam nazwy. Od nobliwych „papierosów”, przez quasi--więzienne „szlugi” i „fajki” (w moim pokoleniu „ten fajek”, dawniej „ta fajka”), dwuznaczne „pety” („Anetka, daj petka”), brzemiennie „rakotwory”, aż po frankofońskie „szlugavery”. Pamiętam marlborasy w miękkim, które napełniały dumą i tym odcieniem amerykańskości, który nie był wstydlivy. Pamiętam habety, żółcią kontrastujące prawie ze wszystkim, i karusy podkradane mamie, i ten moment, kiedy pierwszy raz poprosiłem, żeby mnie poczęstowała, i jak od razu przestały mi smakować. Pamiętam popki, które jaraliśmy z Miszą, czekając, aż pan Biznesmen zaprosi nas do środka, błysnie leniwie złotem zapalniczki, oprawek i łańcucha i zaproponuje nam ni mniej, ni więcej, tylko akwizycję discopolowych kompaktów w podwarszawskich miejscowościach. Dobrze przypominam sobie stołki, z których wywalaliśmy zawartość, żeby pakować w nie trawkę z działki, i urządzaliśmy konkurs na najdłuższy kawałek drewna przykryty ich sianowatym tytoniem.

Mam też przed oczami stare czarno--białe ekstraciaki, które paliliśmy u Anki, w najbardziej tolerancyjnym z domów. Z rozrzewnieniem wspominam chwilowe wybryki takie jak heliosy z węglowym filtrem, które uzdrawiały nastoletnie płuca, gdy niby wyjechalśmy na jeziora, a tak naprawdę siedzieliśmy u Rybałta i tymi heliosami zakąszaliśmy alpagi.

Pamiętam niemiłosiernie wysuszone klubowce. Wujek rzucił palenie, a zostało mu chyba z czterdzieści paczek, którym wyznaczył powolną śmierć na kaloryferze. Potem mu się odwidziało i wszystkie je oddał mamie. Gdy zapaliłem pierwszego, łzy popłynęły mi jak nad ostatnią stroną W drodze, a gardło do dziś jest przekonane, że był to jednak przemysłowy spirytus. Wypaliłem wszystkie. Z buntu, jak podejrzewam.

Podejrzewam też, że nie zapalę już eukaliptusowych papierosków, które miały kopać jak trawka, a tak naprawdę kopały tylko wyobraźnię zapachem i liściem, który zastępował bibułkę. Trawopodobne miały być też boliwijskie szlugi, którymi częstował mnie Janek – jako trzynastolatkiem musieliśmy mieć niewyobrażalną siłę autosugestii, bo kręciliśmy się po nich jak bąki. A może rzeczywiście coś w nich było? Nie dowiem się już.

Pamiętam texasy, które kosztowały tyle, co marlboro, a nie nadawały się do niczego. Pamiętam montecarlo, jak paliliśmy je w krzakach (to musiało być bardzo dawno) i klęliśmy je z tą idylliczną wulgarnością dzieci. Pamiętam zefiry, choć ich nie paliłem, a tylko czułem ich zefirzy zapach, bo jarał je Dominik – największy żul z mojego osiedla, gdy miałem siedem lat.

Trzymam głęboko w sercu rothmansy royalse studwudziestki. Już ich nie ma i nie będzie, mam nadzieję. Nie pamiętam, jak smakowały. To znaczy pamiętam, że były to



najlepsze papierosy, jakie paliłem namiętnie – to jest jakieś dziesięć tygodniowo. Miałem wtedy trzynaście lat, a elemy, które uważaliśmy za gówno, kosztowały trzynaście tysięcy.

Na Słowacji zabił nas rozmiar. Elemki, chesterfieldki – wszystko sześćdziesiątki jak karo. Kochaliśmy chesterfield-ki. Pod piwa Tatra, Smädný Mních i Šariš, pod The best band... Zappy, pod Monka i Post Regiment.

Na Ukrainie paliłem chesterfieldy i bondy (chyba były też na Słowacji), stawałem pod pomnikiem Chmielnickiego albo u wrót Peczerskiej Ławry i paliłem je w takt tego, jak parowało ze mnie wino, którym pojono mnie jako nieletniego (wodki niet? – niet!) w ilości butelka do obiadu.

W Moskwie paliłem gitanesy lighty, bo to już było po zjeździe na słabsze. Sama nazwa wydawała mi się kuriozalna, więc jarałem tę ironię z mitu i była naprawdę pyszna w połączeniu z dość paskudnym piwem Bałtika i wielokolorowym tłumem studentów, który z całego świata, nie wyłączając Japonii i Senegalu, przyjechał zgłębiać tu język Puszkina.

Elemy paliłem falami. Dwadzieścia w ciągu nocy wypaliłem w areszcie w Oslo. Ogień miała strażniczka i dawała, jak akurat szła i chciała. A często nie chciała. Paliłem je, zamiast spać, a kiepami pisałem na ścianie, choć przecież sensowniej byłoby coś wydrapać, chociażby plastikową łyżką.

Pierwsze trzy to były camele. Fama, że z wielbłądzich gówien, trochę mnie odstraszała, ale koleżanki były starsze, miały autorytet, wprawę i piersi. Uczyły mnie najskuteczniejszą z metod na „buch, mama idzie!”. Buchałem więc te kameloty bodajże pod cолę i z ręką na szczycie oparcia ławki (zawsze tak siadaliśmy wtedy – nogi na miejscu tyłka) przypadkowo dotykałem biodra Darii. Zapach tych dziewczyn i cameli rozdziewiczał tamto lato czy może późną wiosnę. Wracałem przez nasyp (zwany też wałem) i pozdrawiałem kumpli, którzy grali w piłkę, wizja z fonią już mi się rozjeżdżały, ale dobrnąłem jednak do domu. Zasnąłem w kiblu pośród wspomnień i wymiocin. Tak zastała mnie mama wracająca z pracy.

Chciałbym wspomnieć jeszcze ekstraciaki, te nowsze, w niebieskiej, śliskiej paczce, które paliliśmy prawie wyłącznie pod sofie w naszym drugim sofijskim okresie. Choć właściwie to była sofia z egri bikavérem. Butla na butlę. A my się dziwimy, czemu dziś wszyscy mamy porozpieprzane żołądki.

Nie da się również zapomnieć białych marsiaków w miękkim, którymi częstował Matys w bardzo dawnych czasach, kiedy dorosłość to była jego malutka piwniczka oświetlana tymi marsiakami, świeczką i Zeppelinami – najpewniej czwórka – choć mogli też lecieć Doorsi lub John Lee Hooker, a Marcin mógł też przynieść sobieki.

Z sobieków byliśmy dumni, że smakują jak amerykańskie (he, he), a nasze. Sobieki ratowały nam życie w jakiś styczniowo--lutowy listopad, gdy na minus piętnastu handlowaliśmy zniczami, żeby zarobić na gitary. Dzięki tym sobiekom któregoś pięknego dnia Matys przyniósł naszą jolanę, na której z tyłu nasprejowaliśmy zaraz nazwę naszego ówczesnego zespołu i zaczęliśmy zrywać struny, podłączając się do mojego rosyjskiego adapteru.

Zawsze gdy widzę, że ktoś pali, też mam ochotę palić. Nawet gdy pali na ekranie. Zasypiam i dym zatyka mi płuca i serce, łeb mnie napieprza. Budzę się, szukuję kanapkę,

ale już zaraz: kawa i papieros. Przed, po. W upał, na mrozie. Wiem, że w płucach mam ropę. Wiem, że rzadko już mi smakują. Kaszlę i boli. Śmierdzą wszystkie ciuchy i chęci. Mam żółte palce i paznokcie, okrągłutkie dziury w ubraniach, dywanach i książkach.

## Ballada grubego poety w marynarce

Ubierać te przygody w słowa. A czasem rozbierać, zrywać, podpalać ściegi i patrzeć, jak skapują lepkiem ogniem, w dziewięćdziesiątym mówiliśmy na to „katusze” i całe ręce mieliśmy w drobnych zgorzelinach, jak piegowaci. Wkładać po dwie koszule, jak wtedy, gdy pojawił się grunge i Sebastian, który miał zespół, choć nikt nie miał instrumentów, i nosił nawet po trzy, trzy kraciaste koszule, dwie rozpięte i jeszcze jedna pod samą brodę, na ostatni guzik, tak że wyglądał jak z krepiny i wszyscyśmy go nienawidzili, wiesz, tą częścią nienawiści, która chce do dziewczyn.

Jeździć na czasownikach, przymiotnikami zalepiając dziury, ale tak, żeby prześwitywało, żeby złe oko mog-ło mrugnąć. Nawet dziś: między dwoma przystankami trzy kobiety ustępowały sobie miejsca. Najpierw młoda studentka w firmowo podartych dżinsach ustąpiła kobiecie z torbami. Z jednej torby łypał papier toaletowy -Alouette, z drugiej makaron Lubella. Ten makaron miał kolor jej czaszki. Widziałem, stojąc nad nią, z góry. Tam, gdzie ufarbowane na rudo włosy spięła wsuwkami, tam tak samo pożółkiwało. Ale i ona wstała, bo weszła starszka wychylona w przód, na laskę, na której się opierała, czyjaś, może i moja, ręka pomogła jej wsiąść, i ta ruda kobieta ustąpiła jej miejsca. Patrzeć na świat jak sześciolatka dziewczynka na ojca, wspinając się bezwiednie na palce, aż słycać chrobot kostek stóp. Tak patrzeć. Nawet gdy się patrzy z góry na dawno ufarbowane włosy, to podnieść je do słońca i wachać ten kolor.

Liczyć piękne dziewczyny w tramwajach, autobusach i na ulicach, a gdy doliczysz do dziesięciu, stawiać w głowie kropkę. Potem łączyć te kropki tuszem najtańszego długopisu i patrzeć, jak ci się niemal sam rysuje plac Defilad, plac Inwalidów i plac Zbawiciela w końcu. Nieustannie nucić, dla podtrzymania lepkości, żeby się łączyło, lgnęło do siebie. Na przykład ten od czterystu lat pijany, a od trzystu bezdomny mężczyzna śpiący na rogu Nowego Świata i Smolnej, tuż pod przeszkloną tabliczką „Pałac Branickich”. Patrzeć, co robi promień słońca na szkłe tej tabliczki, a co robi na szyjce niedopitej nalewki, która wypadła śpiącemu z rąk. Gdzie mu lepiej. I zaraz mieć faceta, który przy stacji Metro Centrum, na „Patelni” chodzi z rachunkami z gazowni i Energi SA. Jest skromnie, ale czysto ubrany, ma okulary, jakby na oczy trzy razy większe od swoich, i grzecznie pyta każdego przechodnia, czyby nie pomógł mu zapłacić. Bo renty ma na jedzenie. A obok facet gra pałeczkami na krześle, a za grającym dwumetrowy dryblas całuje dziewczynę w usta i podnosi ją, jakby nic nie ważyła, i jej stopy w eleganckich butach uderzają go w pizsczele.

I koniecznie nosić w pamięci historię Janka Orzechowskiego, który przewijał rocznego syna, potem zakładał mu body z napisem „Viking”, a ten syn nagle kopnął go w grdykę. I dobrze, że była żona, że pogotowie miało blisko, bo prawie umarł. Ale ubrać to w słowa, że umarł. Pić dużo kawy i palić kilogramy papierosów, bo to paliwo i świece. Choć dziś już nie ma świec w samochodach. Dlatego to raczej dla nikogo i dlatego to takie ważne. Ostrożnie obchodzić się ze zdrobnieniami, ale nie całkiem ich unikać, czasem rozgnieść na miał i jeszcze rozetrzeć na chodniku, a potem zbierać i składać na inaczej. No, mniej więcej o to chodzi.



## Hrabal

Dostałem dziecko. Nieduże, dziewięciomiesięczne dziec-ko, na parę godzin. Z osprzętem: pieluchami, ubrankami wielkości żartu, wózkiem, kapelusikiem z napisem „LOVE” i niewspółmiernie wielką grzechotką.

– Właściwie nic nie musisz robić. Raz przewiniesz, raz nakarmisz (tu masz kaszkę i podgrzewacz), pójdziesz na spacer. Pilnuj i dostarcz trochę rozrywki. W rozrywce jesteś dobry.

Był środek września. Jak się okazało, chyba najciep-lejszy wrześniowy dzień. Jakby ktoś wyciął jeden z tych upalnych sierpniowych i dla hecy wkleił między mżawki i deszczowe warszawskie korki. Rozepchnął gęstwinę parasoli i pyk – świeci. Wsadziłem dziecko do wózka, zapiąłem specjalne pasy, sprawdziłem, czy ma ciepłe rączki i kark. Miało – znaczy z opieki celująco, teraz rozrywka.

Ponieważ z rozrywki jestem dobry, zaaranżowałem wyprawę do najbliższego carrefoura. Wyjechaliśmy (to znaczy ja wyszedłem) z klatki schodowej i dostaliśmy w twarz słońcem. Była dziewiąta rano, poczułem krop-le potu na szyi, a dziecko jako przedstawiciel zwierząt prowadzących dzienny tryb życia rozpląkało się w promieniach słońca. Pokrótkce wytłumaczyłem mu, czym różnimy się od puszczyków i kun oraz czemu nasi przodkowie noc witali zabobonnym lękiem, słońce zaś radością. Potem wymieniłem wszystkie bóstwa solarne, jakie pamiętałem, dorzucając ze trzy zmyślane. Staliśmy przed blokiem, dziecko wykrzywiało się w spazmach jak wampir w filmach -klasy C, starsze panie spacerujące obok udzieliły mi paru rad, zdążywszy pokłócić się w trakcie. W końcu zauważyłem, że w wózku można rozłożyć zadaszanie, wciskając dwa przesprytnie ukryte przyciski. Rozłożyłem. Poczulem, że w międzyczasie krople potu dotarły już do spodni, łaskotały mnie teraz w tyłek.

– Blebubble – powiedziało dziecko.

– LOVE – powiedział kapelusik.

Tak więc na razie rozrywka na całego, tyle że pomyliła kierunki. Bywa. Ruszyliśmy, pchnąłem wózek i zapaliłem papierosa. Trzymałem go oczywiście za sobą w wyciągniętej prawej ręce, wózkiem kierując wyprostowaną po chrzest lewą. Wyglądało to, jakbym wskazywał kierunek jakimś niewielkim istotom. Za tego papierosa zebrałem parę gromiących spojrzeń, ale udawałem, że ich nie zauważam. Osoba w wózku wyraźnie zafascynowana dymem unoszącym się zza mnie uśmiechała się, ukazując oba zęby. W drzwiach carrefoura złożyłem -zadaszenie, by wielość kształtów i kolorów rozlokowanych na sklepowych półkach mogła zainteresować dziecko. Jak najśluszniej. Ja wybierałem produkty, wrzucając od czasu do czasu coś do koszyka, a ono chłonęło kapitalizm w całej jego różnorodności. O dziwo, było dość tłoczno. Przy makaronach i kaszach ledwo się minęliśmy ze starszym mężczyzną, który w dodatku zajrzał do wózka, mówiąc: turli, turli. Dziecko mu jednak nie odpowiedziało, wpatrywało się w wielki worek z makaronem. Opakowanie było naprawdę ogromne, wybrzuszone tymi pszenicznymi wstążkami. Duży napis po włosku wykonany był na czerwono. Nie wiem czemu, ale pomyślałem, że pewnie jest tam napisane: noście czerwone sukienki,

dziewczyny! I od razu zrozumiałem, czemu tak się podoba dziec-ku. Wesoła włoska matrona, jakby trochę w ciąży z tymi wstążkami. Choć to przecież nie była prawda. To znaczy była tylko przez parę sekund.

W końcu doszliśmy do kas. Większość była opuszczona i zrobiło nam się z dzieckiem smutno. Nie było łysego grubaska, który zawsze liczy drobne tak skrupulatnie, jakby mówił w myślach wierszyk Srocza kaszkę warzyła. Nie było też starszej pani, która flirtuje z jeszcze starszym ochroniarzem. No i przede wszystkim nie było głuchoniemego chłopaka, który jest najszybszy ze wszystkich i nieśmiało się uśmiecha, wskazując cenę na wyświetlaczu. Klienci mówią do niego szeptem, a on patrzy na te nieme figurki, którymi jesteśmy, wydaje nam resztę albo pokazuje, że trzeba wklepać PIN, i wybacza nam wszystko. Czynna była tylko kasa przy alkoholu, stojąca na długiej seledynowej ladzie. Nienawidzę seledynu. Dawno, dawno temu, za siedmioma dziewczynami i siedmioma rozstaniem musiałem często chodzić do grochowskiego szpitala. Połowa szpitala była seledynowa, reszta była zła. Zlepiło mi się. Seledyn to jest wciskanie przez umierającego człowieka specjalnego przycisku. Seledyn to jest dzwonek, który wtedy dzwoni w pokoju pielęgniarek, i to są śmiechy tych kobiet w białych fartuchach, które piją kawę w szklankach i śmieją się do siebie, czekając, aż ten cholerny brzęczyk się wyłączy, a drobinki kawowych fusów na ich wargach i zębach wyglądają jak pieprzyki.

Staliśmy więc w kolejce za złą ladą. Byliśmy trzeci. Przed nami stał nerwowy czterdziestolatek, a przed nim staruszka ściskająca płócienną portmonetkę w czerwone grochy. Obsługiwała Dawniej Ładna, która tak się nazywała, bo była żywą ilustracją frazy: ślady wielkiej urody. Była też niecierpliwa, niezorganizowana i wiecznie na nas wściekła. Rozumiałem ją, praca kasjerki to jest okropna robota, ale oczywiście jej nie lubiłem. Wybierała właśnie z portmonetki staruszki drobne, zirytowana, że musi to robić.

– Mogłaby pani tak nie trząść?

Staruszka tylko spojrzała na mężczyznę stojącego za nią, a potem na mnie. Nie mogła. I wtedy ten czterdziestolatek też się wściekł, zaraził. Zaczął pobrzękiwać dwiema butelkami piwa Okocim Mocne, nieogolona szczeka wysunęła mu się do przodu, miał w rękach banknot pięćdziesięciózłoty. Błękit połyskiwał między szarymi palcami jego pięści i kiedy Dawniej Ładna doliczyła się w końcu pieniędzy staruszki, skończył się papier w tej rolce z rachunkami.

– Kurwa! – krzyknął mężczyzna. – Kurwa – powtórzył płaczliwym szeptem. I na tym tonie dalej: – Może mnie pani policzyć? Czy ja mogę zapłacić za swoje zakupy? Pani nie widzi, że ja się rozlatuję?

Ja widziałem, widziałem dokładnie, że jego wątroba, serce i nerki rozpadły się i wyglądają jak mrożone kostki marchewki, gdy rozerwie się torba, a ty stoisz nad tą nagłą kupką na podłodze i mówisz: kurwa.

– Kurwa – powiedział mężczyzna. – Czy pani się kiedyś rozlatywała? Tak, że każda komórka w ciele boli i gryzie inną komórkę? Tak, że się nie da żyć? – Odwrócił się do nas. – Albo pan?

Miał niebieskie oczy, otoczone tym swoim życiem, a może tylko ostatnim tygodniem. Mało było tych oczu, nadrabiały intensywnością. Dwa skowyty. Dawniej

Ładna patrzyła na niego sucho, tylko wielkie jak hula--hoop kolczyki trzęsły się od jego skargi. Zrozumiałem od razu, że dawno, dawno temu była najpiękniejszą pielęgniarką w Szpitalu Grochowskim.

Rzucił w nią tym banknotem. Trafił w tabliczkę, na której miała napisane swoje prawdziwe imię. Zabrał butelki i za chwilę był już za szklanymi drzwiami. Tak jakoś, że ani nie wyszedł, ani nie wybiegł. Nie ma takiego słowa.

– Moczymorda – powiedziała znad seledynu Dawniej Ładna.

– Blebuble – powiedziało dziecko.

– LOVE – powiedział kapelusik.

Poczułem, że krople potu dotarły do skarpetek.

W ramach rozrywki szliśmy potem ulicą Francuską. Pożółkłe liście, po których toczył się wózek, wyglądały nie na miejscu. W tym upale, przy dzwonekch rowerów, na tle roznegliżowanych klientów różnych kawiarni i dwóch dziewczyn jedzących lody. Miały, od tyłu i po głosach, nie więcej niż siedemnaście lat. Jedna była w dżinsowych szortach i koszulce, a druga, zgodnie z zaleceniem makaronowej torby, w czerwonej sukience. Dziecko przysypiało, podśluchiwałem. Rozmawiały o jakichś idiotyzmach. Dużo było w tej rozmowie anglicyzmów wklepanych polską fleksją, żeby nie wystawały, jakieś wakacje w Mielnie i picie wódki z jakimś Andrzejem. Pojąłem, że jestem dziadem i że to nie są żadne idiotyzmy, tylko życie, choć opowiadane w języku, który już nie jest mój. Ktoś go wziął i przemałował na seledynowo. Byłem przez te kilka minut w Kraju Młodych Dziewczyn. Trochę jak na Słowacji, niby się dogadujesz i rozumiesz, ale to jednak zagranica. Gdy mijaliśmy niepodobną do siebie kamienną Agnieszkę Osiecką, ta w sukience, wskazując Osiecką, zapytała:

– A to kto?

– Osiecka – odpowiedziała ta w szortach.

I skręciły w Obrońców, unosząc ze sobą swój język, swój kraj i Andrzeja, który zwymiotował, zamiast się całować.

Za budynkiem, w którym obecnie jest bank, rozstawili się panowie z książkami. Dawniej prowadzili antykwariat Pod Rycerzem przy Zwycięzców, ale zżarł ich czynsz pod rękę z upadającym czytelnictwem. Teraz mieli tutaj dwa stoliki. Jeden z nowościami i drugi antykwaryczny. Patrzyłem na te książki jak na morze albo pustynię. Myślałem o języku, o starości, rysowałem sobie w myślach twarz tamtego Andrzeja pijącego wódkę z plastikowego kubka. Jak puszcza oko do dziewczyn, ale pije z kumplami, pręży się cały, bo jest lato, bo ma dwadzieścia lat, jest wysportowany i na razie na lekkim rauszu. Ale słońce grzeje, plastikowy kubek co i raz się napełnia, pachnie olejem ze smaźalni, pachnie coraz bardziej, zdaje się, że na ogromnej patelni smaży się parodniowe truchło rekina.

I z tego patrzenia w nic powoli coś mnie wyciąga. Jakbym bardzo wolno otwierał oczy po przebudzeniu. Czterej mężczyźni w strojach sportowych sprzed parudziesięciu lat pozują do zdjęcia. Twarze mają niewyraźne, nad ich głowami na żółtym, słonecznym tle umieszczono napis w języku, który rozumiem. Trzech z tych piłkarzy (to piłkarze!) jest szarych, a jednego grafik pociągnął zielenią. Wiem, że nie żyją, ten pomalowany też nie ożył.

– Ile?

– Osiem.

– Biorę.

Potem wracamy i skręcamy w Obrońców, choć ci mężczyźni to raczej napastnicy i skrzydłowi.

– Posłuchaj – mówię do dziecka – „...ale świat składa się z samych zwycięstw, ludzie nie robią nic innego, tylko zwyciężają, dlatego na przykład za wypadki samochodowe na całym świecie winę ponoszą zawsze ci drudzy...”.

Zamknąłem książkę i spojrzałem na dziecko. Spało. Wydało mi się całkiem podobne do starca leżącego dawno, dawno temu na łóżku pod seledynową ścianą. Skarciłem się w myślach za wyświechtane porównanie. Pochyliłem się i sprawdziłem, czy dziecko ma puls.

– LOVE – powiedział kapelusik.

– Blebubble – odpowiedziałem.



## Jurek

Jesienią dwa tysiące szóstego piliśmy piwo, jakby nasze żołądki były wyłożone torfem, rozgrzanym, tłącym się torfem, który trzeba zalać, ale i piana, i piwo właściwie wywoływały tylko dym na powierzchni tego torfu, i bekaliśmy ukradkiem, i dym szedł nam z ust, nosów, a może i z oczu, tak nam się zdawało, bo widzieliśmy coraz więcej, ale coraz mniej wyraźnie, widzieliśmy całą Warszawę, całą Polskę, niemal całą Europę, tylko w szarościach, w kłębach. Największy nos miał Jurek, nie dość, że długi, to jeszcze – jak gdyby dla równowagi – rozłożysty, jakby kto zlepil nos baśniowej staruchy z nosem Louisa Armstronga w jeden warszawski nos. I to spod tego monumentalnego nosa sypały się słowa, które musieliśmy czym prędzej zapijać, bo były parzące, okrutne i mogłyby przepalić stoły tej dziwacznej knajpy, gdzie wszystko było z drewna prócz beczek i nalewaków.

Piliśmy piwo Żywe, to jeszcze było przed kraftową rewolucją, przed tysiącem browarów z setką tysięcy piw o grafomańskich nazwach, to była nowinka – to Żywe, pieniące się, gdy lałeś je prosto do ust, buzujące na podniebieniu, czyściło zęby lepiej niż niemiecka pasta, zalewało kubki smakowe, tak że nie wiedziałeś, jaki właściwie ma smak, a potem spadało na tłący się torf w naszych żołądkach, wcale go nie gasząc. Jurek opowiadał o rozwodzie i o Beacie, ale przede wszystkim o dziewczynce, o Helenie, Helence, trzylatce, którą sędzina zabrała mu z takim wyrazem twarzy, co się może przyśnić, i śnił się Jurkowi co parę dni, a wtedy wychodził z domu, szedł prosto do klubu boksinerskiego na Grochowie i tłukł tam w worek lewą, skuteczniejszą pięścią. I prawą, i gdy nikt nie patrzył, tłukł czołem, monumentalnym nosem, wyrwał sobie serce i uderzał nim w ten kawał skóry, zwykły brązowy boksinerski worek bez logo producenta, a w drugiej rękawicy trzymał wątrobę i też nią napieprzał, krew bryzgała na wszystkie strony, mała sala treningowa przypominała rzeźnię, aż w końcu łapał go za ramię trener Kociuk, stary recydywista, który po piętnastu latach odsiadki wrócił do boksu, do życia, do dobrych uczynków dla trudnej młodzieży, łapał go za ramię, wciskał mu z powrotem wątrobę i serce do środka, zablizniał rany i cicho mówił:

– Kurwa, synku, nie tak. Tak to nie warto. Robisz, jak nie trzeba.

– Przecież ja nigdy nikogo nie uderzyłem – odpowiadał Jurek i pozwalał się trzymać w trochę śmiesznym uścisku, a trener Kociuk klepał go jedną ręką po plecach, a palcem drugiej ręki kręcił kółeczko przy swojej skroni, która niczym nie różniła się od reszty głowy, bo był od dawna łysy, żeby pokazać trudnej młodzieży, że to wariat, że tak nie trzeba, żeby wracali do gruszek, worków i skakanek.

Piliśmy więc piwo Żywe butelka za butelką, piwo, które naprawdę zachowywało się jak żywe i szperało w nas, pieniąc się niesamowicie, wypłukiwało z nas żarliwe słowa pocieszenia, których skuteczność i tak była przecież znikoma. I znów musieliśmy prosić barmankę o następne butelki, by nabomblować w sobie nowe uspokajające zdania, a Jurek w gładkim zeszycie rysował nam rzeczy, które rysowałby dla córki, gdyby przekłeta sędzina i przekłeta Beata nie odebrały mu jej, poza weekendem raz na cztery tygodnie. Rysował nam domy, ogródki, kwiaty, konie, koty, psy i pomniejszych zwierzęta,

a wszystko tak pięknie, aż strach. Cieniował, poprawiał, konie parskały i piły z nami piwo Żywe, koty ganiały się z psami, a inne zwierzęta, nic sobie nie robiąc ze swojej błękitnej maści (bo rysował Jurek niebieskim długopisem, najtańszym bikiem), wdrapywały się na domy i przegryzały się przez idealnie wyrysowane dachówki, i wpadały do środka, robiąc tam straszny bałagan, zamieszanie i pisk, pisk, jakbyś przesuwiał drewniane knajpiane krzesło po drewnianej knajpianej podłodze. Dym z narysowanego komina mieszał się z dymem naszych papierosów i gdy Jurek zajęty był kolejnym szczegółem, kiwaliśmy się trochę na skrzypiących krzesłach, żeby sprawdzić, czy też nie jesteśmy już błękitni, narysowani w gładkim zeszyście.

Jesienią dwa tysiące szóstego jeszcze nie byliśmy tacy starzy, więc niektórzy z nas zerkali na barmankę studentkę, próbując choć na chwilę wypłynąć z Jurkowej opowieści, ale ona, piękna barmanka, patrzyła ponad naszymi głowami, pewnie dlatego, że mieliśmy w sobie już więcej piwa i niebieskiego tuszu niż czerwonej krwi, a może po prostu zajmowały ją inne sprawy. Ale pijani mężczyźni słabo wierzą w inne sprawy. Ja nie wierzyłem i gdy brałem kolejny łyk tego przekłętego piwa, próbowałem patrzeć jej w oczy. Nie mam dzieci, żony, rozwodu, gdybyś tylko zechciała... Ale zaraz ktoś mnie szturchał i musiałem mówić słowa pocieszenia, choć sam potrzebowałem pocieszenia, oczywiście nie takiego, nie dotknęło mnie takie nieszczęście, ale pomniejsze nieszczęścia też potrafią przegryźć dachówkę i wpaść do środka, i narobić bałaganu, zamieszania i pisku, który brzmi jak świst płuc, gdy wypaliłeś dwadzieścia papierosów.

Parę tygodni wcześniej taki świst mnie obudził, cienki jak końcówka cyrkla przekłuł sen i rytmicznie się powtarzał.

– Co tobie, kocie? – spytałem Lopka, który próbował wymiotować w kącie pokoju.

Ledwie obudzony, nawet nie zaniepokoiłem się za bardzo. Koty rzygają. Przejęte swą higieną, wylizując się dokładnie, łykają własną sierść, której muszą się potem pozbyć. Tylko ten świst był niepokojący, jakby Lopek połknął miniaturowy gwizdek sędziowski i przy każdym kolejnym skurczu żołądka bezwiednie go uruchamiał. Zrobiłem sobie śniadanie, nałożyłem i jemu jego poranną porcję, ale nawet nie spojrzał. Leżał na boku, jakby nigdy nic, ale coś mi w tym nie pasowało, w tym leżeniu nie było zwykłego kociego lenistwa, lekceważenia świata i ludzi, jakaś rezygnacja to była. Chyba łapy leżały odrobinę inaczej niż zwykle, o milimetry, nieco inaczej podkurczone. Nie umiałbym tego dokładnie opisać, ale kiedy żyjesz z kimś siedem lat, po prostu wiesz, że źle leży, że tak się nie leży, kiedy wszystko jest w porządku.

– Co tobie, kocie? – powtórzyłem i pogłaskałem go po głowie, potem ostrożnie po brzuchu.

To powinno się skończyć krwawo, pazurami tylnych i przednich łap. Nic. Wtedy się przestraszyłem. Z pawlacza zdjąłem koci kontener i powoli przeniosłem Lopka do środka. Na podłodze została po nim plamka moczu i kału. Poczulem, jakby ktoś kopnął mnie w serce. Teraz biegiem do weterynarza. Kolejka, mała czarna kotka bez jednej łapki i rozleniwiony spaniel. I jacyś ludzie. W końcu do środka, pobranie krwi, kroplówka, słowa pocieszenia.

– Musimy go ogrzać, ma bardzo niską temperaturę, proszę zostawić go u nas do końca dnia i na noc, ogrzejemy go w inkubatorze, poczekamy na wyniki, rano będziemy

mądrzejsi.

Nie wiem, czy rano byłem mądrzejszy, o dziewiątej odebrałem telefon, lekarka mówiła miarowym, uspokajającym i współczującym głosem – wprawa, doświadczenie, takt.

Pojechałem po ciało.

Według książeczki zdrowia jest mężczyzną w średnim wieku. Szarym, długowłosym mężczyzną z fatalnymi wynikami badań. Odbija się w szybie, ale sam sobie zdaje się niewyraźny, oczy cofnęły się w głąb czaszki i łzawią. Za odbiciem, za szybą – nikogo nie ma. Tylko urządzenia, kable i niebiesko--białe ściany. Gdzie są ręce, które go tu przyniosły? Ręce, które dotykały go czule przez siedem lat, pod które podstawiał głowę, kark i, rzadko, nieco zbyt obfity brzuch? Wenflon przeszkadza, czuć ukłucia bólu przy każdym poruszeniu, ale tego poruszania mało, nie ma sił. Unosi na chwilę głowę i po paru sekundach opuszcza. Prawdziwy ból jest niżej, idzie od brzucha dalej, tak że nawet niepodobna się skarżyć. Gdzie są ręce, znów unosi głowę, nie wie, czy jest dzień, czy noc, instynkt milczy, jakby ból go odciął. Jest ciepło, można zasnąć od tego ciepła. I chciałoby się, ale chciałoby się jeszcze tych rąk, żeby nie było strachu, żeby mniej bolało. Nie ma.

Te ręce przychodzą rano, za późno, na zimne już. Na nic.

Niektóre historie się pamięta, a niektóre pamiętają ciebie i wyciągają rękę, żeby cię podduśnić w najmniej spodziewanych chwilach. Zerkalem więc zażawionymi oczami na barmankę, która patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie, a czarną grzywkę odgarniała z czoła szybkim ruchem wskazującego palca, i z każdą chwilą byłem mocniej przekonany, że to jest dla mnie, że pokazuje mi, że jestem wariat, że robię, jak nie trzeba, i cała moja odwaga zapadała się w płonącym torfie. W końcu wychodziliśmy na powietrze, łowiąc niewidzącymi oczami żółte neony taksówek, i jechaliśmy do domów, i śniliśmy swoje sny, w których błękitne zwierzęta, sprzęty i budynki kpiły z nas w żywe oczy. Ja dodatkowo śniłem o barmance, która w snach poświęcała mi zresztą tyle samo uwagi co na jawie. Potem się budziliśmy, robiliśmy codzienne rzeczy, by wieczorem znowu usiąść w dziwnej, całkiem drewnianej knajpie, pić piwo Żywe, po którym kac był bezlitosny, ale to była nowinka, więc piliśmy dalej, wachaliśmy dym i niebieskie kwiaty z zeszytu Jurka, wachaliśmy je za jego córkę, w zastępstwie. I tak całą jesień dwa tysiące szóstego.

Zimą otrzeźwieliśmy. Jurek dogadał się z Beatą jakoś poza sądem. Zamiast do Kociuka jeździł teraz z córką do zoo. Zacząłem pisać książkę, której nigdy nie skończyłem. W tej książce ja i barmanka mieliśmy setkę różnych przygód, niebo było różowe, a podli ludzie dostawali w kość. Nie ma żadnej pointy, było – minęło. Knajpę zburzono, jeden z nas umarł, reszta ma dzieci albo terapeutę. Jurek ma nową żonę, barmanka skończyła studia i jest doktorem na uniwersytecie. Jeżdżę czasem popatrzeć, jak wychodzi przez bramę na Obożnej. Gest jej został, ciągle pokazuje mi, że jestem stuknięty, że robię, jak nie trzeba, choć nie wie, że patrzę.

Leskow

W toalecie przycisk spuszczenia wody wytarł się pośrodku. Biała plamka w kształcie migdała powstała przez lata prawidłowego używania sanitariatu. Wyglądała jak bielmo w oku. Przesunąłem palec i wcisnąłem tak, by nie dotknąć chorej części. Kawiarnia była staroświecka, z krzesłami udającymi starsze, z białymi obrusami i dyskretną, też białą, zastawą. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem toaletowe bielmo.

Usiadłem w kącie twarzą do wejścia, tak by za sobą mieć ścianę, zwyczajem konspiratorów i paranoików. Ściana na szczęście była brązowa. Edith Piaf z ukrytych gdzieś zmyslnie głośników śpiewała Padam, a ja starałem się nie myśleć o Michale Bajorze, próbowałem po prostu czekać. To nigdy nie jest łatwe, przepelniony informacjami i skojarzeniami mózg nie bywa w takich sytuacjach sprzymierzeńcem. Im bardziej nie myślałem o Bajorze, tym bardziej przypominałem sobie ekranizację Quo vadis i słynnego polskiego dzudokę trzymającego za rogi byka, byka ze słynną modelką na grzbiecie. Ponoć bykowi, by nie wyrządził nikomu krzywdy, podano sporo narkotyków, współczułem więc, ponieważ, biednemu bydłciu, ale mój mózg nie czekał. Chybcikiem przeniósł mnie do roku osiemdziesiątego piątego na kolonie letnie w Sopocie. Zabrałem na nie właśnie Quo vadis w szarej, porowatej oprawie. Jak z żaglowego płótna. Nie pomogło mi to w integracji z kolegami, mieliśmy po osiem lat i przebojem był komiks Lądowanie w Andach według książki von Dänikena. W napadzie zrozumiałego, mam nadzieję, konformizmu kupiłem go i ja w połowie turnusu, było oczywiście za późno. Mimo że nieźle grałem w piłkę i ping-ponga, pozostałem w oczach współkolonistów dziwadłem, typem towarzysko niepewnym.

Lato było upalne, albo zapamiętałem tylko takie dni. Spoceni po dwugodzinnym ganiu za piłką jedliśmy kolację w stołówce. Chleb, biały ser, dżem, którego smak nie przetrwał tylu lat w pamięci. Zaszurało krzesło. Smutny, niewiele wyższy od nas kierownik kolonii wstał zza kadrowego stolika i oznajmił, że po kolacji odbędzie się dyskoteka, pół godziny na przygotowanie się, miłej zabawy. Dziewczyny zachichotały, starsi chłopcy puszczały do siebie oka, a ja po prawdzie trawiłem w głowie treść kupionego komiksu, która nijak nie zgadzała mi się z wiedzą zaczerpniętą z książek rodziców. Dyskoteka obchodziła mnie tyle co nic. Tym bardziej że smutny kierownik z niewyraźnym wąsem i oczami dwukrotnie za dużymi dla małej twarzy ogłosił tę nowinę, jakby informował o śmierci kogoś wprawdzie nieznanego, ale godnego szacunku. Po kolacji chłopaki dobierały garderobę. Trochę nerwów, trochę śmiechu, zmoczone plastikowe grzebienie mniejsze od pięści. Zjrzałem do swojej szafki i po namyśle wyciągnąłem błękitne spodnie od dresu. Były czyste i miały coś w rodzaju cienkiego białego lampasa. Na górę wciągnąłem granatową koszulkę z zakładką, czyli kawałkiem materiału w wiśniowym kolorze, który z jednej strony można było odzepić, bo kończył się metalowym wciskiem. Z drugiej strony był szew. Odczepiona zakładka majtała się jak flaga jakiegoś wiśniowego państwa. Wydałem się sobie bardzo eleganci, a śmiechy kolegów ułożyłem tam, gdzie wcześniejsze docinki i krzywe spojrzenia, w cichym schowku na późniejsze nerwice.

I poszliśmy. Był magnetofon, wzmacniacz i kolumny. Pewnie diory, nie pamiętam. Światło w sali gimnastycznej przygaszono, by kolorofon mógł czynić swą trójbarwną powinność. Modern Talking, Limahl, Shakin' Stevens i cała ówczesna reszta głośno o czymś śpiewali. Po angielsku znałem parę słów, więc mogłem sobie wyobrazić, że o Ligii, Ursusie albo i Darku Dziekanowskim. Mało kto tańczył. Grupki dziewczyn i chłopaków rozmawiały, pokrzykując, żeby przebić się przez muzykę. Setki ukradkowych spojrzeń przecinały salę jak snajperskie strzały. Normalnie.

Stałem z dwoma chłopakami, którzy wybierali mnie zawsze do składu na piłce, czuliśmy się chyba – cała trójka – jak skończeni idioci, nie na miejscu, nie wiadomo po co wbici w sznyt mody dziecięcej końca PRL. Nagle muzyka ucichła, zapalono światła, a na salę wdreptał kierownik. Popatrzył na nas jak na obiekty muzealne i zapowiedział, że w ramach zacieśniania więzi na dyskotekę zaproszono koleżanki z Czechosłowacji, przebywające właśnie nad pięknym polskim morzem na obozie sportowym.

– O kurwa! – powiedział starszy chłopak stojący gdzieś po prawej.

Poniósł się szmer. Weszły Czeszki i Słowaczki, patrzyliśmy. Dziewczyny nasze jakby obrażone, na pewno zaniepokojone, chłopaki jakoś podekscytowane. Trochę tym, że zbiór płci przeciwnej się podwoił, ale głównie tym, że to przecież nie--Polki. Czechosłowaczki stanęły na środku parkietu. Miały lepsze ciuchy niż nasze dziewczyny, wszyscy to widzieli. I w ogóle były jakby dorodniejsze. Coś, czego wtedy nie umiałem rozpoznać, wyprostowało starszych chłopaków, nagle przestali się garbić i gadać o samochodach, piłce czy Dänikenie. Puszczono muzykę, Shakin' Stevens zaśpiewał: „kładzestulubę!”. Słowaczki i Czeszki zaczęły tańczyć.

– Przyszły potańczyć, to tańczą – powiedział Arek, ten z najlepszym dryblingiem na turnusie.

– Bo u nich nie ma morza! – odkrzyknąłem.

Spojrzał na mnie dziwnie i przeszedł do innej grupki kolegów. A czechosłowackie sportsmenki zaczęły prosić naszych do tańca. To nie było przyjęte. Polki powstały trochę z rozdziawionymi ustami, a potem podjęły wyzwanie, przybycie „sąsiadek” okazało się zapalnikiem imprezy. Stałem w kącie w błękitnych dresach z lampasem, zapinałem i odpinałem zakładkę w koszulce. Może nawet do rytmu.

Półmrok, jak wiadomo, sprzyja. Tańczono do szybkich numerów – jak kto umiał. Wolniejsze miały już swoje kategorie: po staremu – ręce złączone jak do walca, druga ręka chłopca w pasie dziewczyny, a jej dłoń na jego ramieniu. Albo bezpiecznie – obie dłonie chłopaka na talii dziewczyny, jej zaś na jego ramionach. W tym wariacie między parę dałoby się wstawić melancholijnego kierownika z kubkiem kawy. I trzeci sposób: odważnie – ręce niby jak w wariacie drugim, ale tańczący przytuleni do siebie, dłonie zarówno partnera, jak i partnerki mog-ły zapleść się w koszyczek. Z tego, co widziałem, należało ostrożnie dobierać styl, zdarzało się, że zbyt śmiałe przytulenie dziewczyny kończyło się jej odejściem. Szczególnie Polki lubiły robić takie sceny. Widziałem, że nasze chłopaki z Czeszkami stosują politykę małych kroków. Zaczynali od figury bezpiecznej i centymetr po centy-metrze, w tle mając zawrodozenie jakiejś gwiazdy, dochodzili do uścisku. Zdmuchiwali sobie włosy partnerek z czoła i uśmiechali się do kumpli. Przyciąłem sobie w końcu opuszek palca wskazującego tym wciskiem. Syknąłem

i w pulsująco zmieniającym się świetle kolorofonu próbowałem ocenić, czy leci mi krew. Wtedy ktoś pociągnął mnie za łokieć.

Co nią kierowało? Litość, że stoję w kącie z idiotycznym lampasem na spodniach? Miała młodszego brata w moim wieku? A może była drużynową w jakimś czechosłowackim harcerstwie? Pociągnęła mnie na środek sali tak kompletnie zdziwionego, że nie zdążyłem się nawet przestraszyć. Była ode mnie z pięć lat starsza i pół oszołomionej głowy wyższa. Blond włosy z przedziałkiem na środku sięgały jej do brody. Chyba nie była ładna. Uśmiechała się, jeden z jej zębów był trochę krzywy, trójka, może czwórka. Jakiś Lionel Richie zaczął swoje smędenie, a do mnie w końcu dotarła fala paniki.

Z dwojga złego wolałem wolny taniec, bo nie trzeba było nic umieć, ale nagle zapomniałem wszystkie techniki zaobserwowane wcześniej. Z jakiegoś powodu moje ręce wysunęły się i położyłem dłonie na jej ramionach. Nie zdziwiła się, objęła mnie w pasie i zaczęliśmy dreptać niemal w takt przeboju. Miała koszulkę na ramiączkach. Cieńszych niż moje dłonie. Kciukami, małymi i serdecznymi palcami dotykałem jej skóry. Nie byliśmy przytuleni, ale nawet ćwierci kierownika nie udałoby się między nas wcisnąć. Gdzieś na wysokości moich ramion Czeszka (a może Słowaczka?) zaczęła się wcześniej niż dziewczyny z mojej klasy. Pamiętam, że martwiłem się, czy cholerny wcisk od kretyńskiej zakładki nie będzie jej kłuł. I czy z palca nie kapie mi krew na jej plecy.

Musieliśmy wyglądać śmiesznie i słyszałem nawet chichoty za plecami, ale sporadyczne, za dużo się działo, żeby skupiać na nas uwagę. W połowie piosenki odsunęła się lekko, spojrzała mi w oczy, wskazała na swoją lewą pierś i powiedziała:

– Petra.

Zdjąłem prawą rękę z jej ramienia.

– Adam – powiedziałem, wskazując metalowy wcisk. Nie wiem, dlaczego skłamałem, i nie wiem też oczywiście, czy jej imię było prawdziwe.

Tańczyliśmy. Nie wiedziałem, dlaczego jest mi tak przyjemnie, ona nie wiedziała, że za chwilę rozpadnie się Czecho-słowacja. Byliśmy dziećmi, które przypadkiem spotkały się w Sopocie w osiemdziesiątym piątym na kolonijnej dyskotece. Byliśmy szczęśliwi, no dobra – ja byłem. Gdy skończył się kawałek, Petra pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. To już zostało zauważone. Ktoś się zaśmiał głośno, a Gruby z najstarszej grupy, -któremu najczęściej zakładałem siatki na boisku, krzyknął:

– Te, absztyfikant!

Widocznie dużo rozmawiał ze swoją babcią.

Wróciłem do kąta i chyba już nic się nie wydarzyło. Nic, co bym zapamiętał. Opowiadałem oczywiście potem tę historię koleżkom, gdy byłem parę lat starszy. W zupełnie innej, nieprawdziwej formie. Jak wszyscy. Zdradzałem Petrę szczeniackim gadaniem, ale nie dała się zdradzić. Za bardzo się wtedy uśmiechała, za cienie miała ramiączka, za straszny był ten cały wyjazd, pierwsze poważne robienie za dziwadło przez trzy długie tygodnie. Ale nie wiem, czemu to ta historia wypłynęła wtedy w kawiarni, w której czekałem. Staralem się tylko czekać.

Anka weszła spóźniona. Pocałowała mnie w ten sam policzek co Petra trzydzieści lat wcześniej. To pasowało. Też była z przeszłości, choć bliższej. Ale czy to właściwie

pewne? Czy lata, jesienie i wieczory, które odeszły, nie tasują się bezładnie? Sięga się przecież nie po kolei, chronologia stoi z boku, a przeszłe lata, jesienie i poranki pojawiają się po swojemu. Jakby wygrzebywały się ze sterty, widzisz nagle wystającą z ciemności nitkę – choćby ten nieszczęsny lampas – i wyciągasz jakiś dzień na wierzch. I zazwyczaj nie masz pojęcia dlaczego. Anka usiadła i zamówiła koktajl owocowy. Coś tam gadaliśmy. W zaniechaniu. Ona starała się nie myśleć, jak się postarzałem, ja odpędzałem obraz jej twarzy sprzed lat. Obojgu nam szło nie najlepiej. Zmarszczki, które kiedyś robiły się jej tylko w uśmiechu i zdziwieniu, nakładały mi się na te obecne, ukryte pod makijażem. Wydawała mi się przez to starsza, niż była, nie mogłem się skupić, naturalny kolor jej włosów, które pewnie lekko posiwiwały, kładł mi się na ciemnorudej teraz jej grzywce. Absurdalne pasemka. Miałem tylko nadzieję, że nie powiem tego na głos.

– To był dziwny mejl, wiesz, po tylu latach, i to w takiej sprawie.

– Przepraszam, ale po prostu nie mogłem tego znaleźć, na Allegro nie ma, a chciałem mieć swój egzemplarz. Do zagładania, a nie w bibliotece, że trzeba jechać, coś wypisywać... Pamiętałem, że zostałeś na uczelni, więc pewnie masz pod ręką. No i pomyślałem, że byłaby też okazja, żeby się spotkać...

– I powspominać? – Skrzywiła usta.

Miała rację, nie byliśmy nawet przyjaciółmi. Ot, znajomi z roku: świetna studentka i koleś siedzący ciągle w barku pod schodami.

– Ale udało się?

– Oczywiście, to nie jest najbardziej rozchwytywana książka na świecie. Żaden biały kruk. Właściwie po co ci Leskow?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Sama nie wiem, ale skoro go dla ciebie wynalazłam i przywiozłam tutaj...

– Okej. Wiesz, większość moich znajomych biega.

– Ja też biegam. – Znowu się skrzywiła.

– No właśnie, biegają, chodzą na siłownię, ja pierdolę. Uwierzyli, że można wypocić lata. Więc ja też któregoś dnia wstałem, włożyłem specjalne buty i pobiegłem. Po dwudziestu minutach byłem w domu.

– To normalne. – Zerknęła na camele obok mojej filizanki. – Palisz, pewnie pijesz, nie ruszasz się...

– Nie, nie – przerwałem jej – oczywiście miałem zadyszkę, wszystko mnie bolało, ale przede wszystkim czułem się jak kretyń, wiesz, jakbym uwierzył, że każdy kilometr to minus jeden dzień w metryce. Przecież to głupie.

– No dobra, gdzie tu Leskow?

– No więc niedawno zorientowałem się, że nie będę już sprawniejszy, przystojniejszy ani młodszy. Mogę tylko więcej wiedzieć. Doczytać to, czego nie doczytałem. Domądrzyć się czymś...

– Przecież to taka sama iluzja. Wypchać się nowymi informacjami. I jeszcze akurat Leskow, nie czytałeś na studiach?

– Iluzja dobra jak każda inna. I nie trzeba biegać. Pamiętam, że mnie coś w tym Leskowie, niby--nudnym, uwodziło. I chciałem sprawdzić co.

Nie lubiła mnie dwadzieścia lat temu i nie lubiła mnie teraz. Właściwie nie wiem,

dlaczego zdecydowała się przynieść mi tę książkę. Przez chwilę wahałem się, czy nie zapytać. Zamiast tego zapytałem o habilitację. Potem standardowo: przelecieliśmy po byłych znajomych, kto, co i nawet parę razy – z kim.

– Dobra, ile ci jestem winien?

– Ty jesteś naprawdę głupi. Miałam dwa egzemplarze, więc przyjmij to jako prezent. Pieprzony idioto!

Wstała i wyszła. Kelnerka popatrzyła na mnie przeciąg-le. Zapłaciłem i schowałem nieco sfatygowany tom do plecaka. W drzwiach zawróciłem. Wszedłem do toalety, wysikałem się. Spuściłem wodę, starannie omijając bielmo, chyba tym samym palcem, który przytrzasnąłem sobie wciskiem. W osiemdziesiątym piątym. W Sopocie.



## Pojedynczy mężczyzna

Sześciopalczatka jak z Felliniego, chuda i wpatrzona w szybę, może w swoje odbicie, ale jeśli tak, to musi dobrze siebie znać, bo w witrynie ledwie ją widać. Dopiero po chwili dostrzegam, że szósty palec to cielisty ołówek. Właściwie pół. Ułożyła go tak specjalnie czy zadziałał przypadek? Kiedy pojawia się wiara w istnienie przypadku, w to, że coś nie ma celu? I jak słaba jest ta wiara?

Skoro już dłonie okazały się tylko długie, bez naddatków, patrzę na jej włosy. Przylegają do pociągłej twarzy jak plastik i tak błyszczą, przedrzeźniając neony. Gdyby ktoś nagle popadł w szaleństwo i podpalił je leżącą przede mną zapalniczką, stopiłyby się w dwie sekundy. Takie właśnie dwie sekundy poświęcają mi jej oczy. Jeszcze dziesięć lat temu byłbym zły, a pięć – rozczarowany, dziś nie muszę odbijać się w szybie, by wiedzieć, jak na nią patrzę. Nie ma w tym ognia ani nawet podłości: podglądactwa, manii ocen. Ot, dwoje zrezygnowanych ludzi popatrzyło na siebie, on nieco dłużej, ona dwie sekundy, smutek wisi w tej knajpie, tak że trzeba go czymś popić. Wesoła muzyka z głośników ukrytych za kwiatami, wesoła muzyka jest zawsze najsmutniejsza, trująca, cykuta d--moll. Dolewam sobie, bo co właściwie miałbym zrobić? Tuż obok jest stacja metra, nowa – jeszcze nie zdążyła się wlepić w miasto, szczyry betonowe wejścia, a gdy skład wjeżdża na peron, pijącym zdaje się, że trzęsą się stoliki i podłoga. Ale to tylko ich własna febra, przynieśli ją w płaszczach i kurtkach. Rozwieszona w szatni, nic do siebie nie mówią. Szatniarz na telefonie ogląda pornografię bez dźwięku, bez ostentacji.

A po drugiej stronie też coś pewnie jest, jeśli nie knajpa, to bank. Oddział banku, czyli w nocy nie trzymają tu pieniędzy, nie nadaje się nawet na napad, chyba że ktoś chciałby kraść rośliny doniczkowe i gładkie meble. Zresztą dokładnie nie widać, ulica jest szeroka na sześć samochodów albo dwa czołgi, to oczywiście zależy. Środkiem jadą tramwaje, nowoczesne, prawie szurają obłymi brzuchami po torach, chcesz patrzeć na bank, patrzysz przez filtr dwóch szyb i tych, którzy o dwudziestej w piątek jadą po pracy z centrum do mieszkań na obrzeżach, patrzysz przez twarze. To i tak lepsze niż spoglądanie przez tych, którzy jadą w odwrotnym kierunku, szukających piątku, jadących w piątek, a znajdujących zazwyczaj wypacykowaną na złoto i róż starą środę.

Trzeba podjąć decyzję: w kogo się wcielić? Kogo poudawać przed światem, który jest chyba tylko rozbudowaną symulacją, da się go zrolować i schować do pudełka, a pudełko wziąć do kieszeni. Wybieram faceta trochę podobnego do mnie, tak jest łatwiej. Siedzę w tramwaju, czytam książkę wydrukowaną na papierze Ecco-Book Cream 80 g/m<sup>2</sup>, tramwaj przypomina żółto--czerwoną gąsienicę, ale tylko z zewnątrz. W środku jest jak z filmu SF z lat dziewięćdziesiątych, filmu o niewielkim budżecie, wyprodukowanego najpewniej w jednym z tych krajów starających się, by znowu wpuszczono je do Europy, przyciski, ekrany, wszystko błyska i popiskuje. Jadę na drugą stronę Wisły.

Te ulice są zepsute, powinny wyglądać inaczej. Są zepsute nowymi budynkami, szkłem i bladoniebieskimi fasadami, wzrok się po tym ślizga. Są zepsute wolnymi przestrzeniami, gdzie nie ma tego, co było jeszcze dziesięć lat temu, wyburzenia, remonty, nowa jakość, nowe kolory i nowi mieszkańcy, prawie nigdzie czerwonej cegły i szarych

chropowatych tynków. Te ulice są zepsute, bo pamięć zna je za dobrze, i co chwila czuję, jakby ktoś uderzał mnie w splot słoneczny, a z kieszeni wyciągał mi klucze i jakąś najważniejszą pamiątkę: zegarek dziadka Witolda, małą popielniczkę z niemal naga kobietą, wokół jej szyi i bioder owija się nienaturalnie długi lis, to reklama futrzarskiego przedsiębiorstwa z lat siedemdziesiątych, nad lewym ramieniem kobiety lis kończy się pyskiem, ale oczy są wytarte, biała plama. Tam celował dziesiątki tysięcy razy albańskim papierosem, twarz i nagie piersi kobiety omijał. Idę przez te zepsute ulice i poprzerałbane podwórka, czuję na sobie wzrok z okien zburzonych budynków i nieistniejących bram. Czy kogoś spotykam? Nikogo. W końcu odnajduję ten fragment dzielnicy, do którego nowy czas jeszcze się nie dobrał, ogrodzony zrujnowany tor kolarski, tu ścigają się cienie i zgniecione puszkę.

– Jest pan kim?! – zapytał strażnik, zaskakując mnie składnią i spojrzeniem okularów typu „spód od mazowszanki”.

– E, ee... – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Małą prawdą, taką, która mieści się w niewielkich spierzchniętych ustach. Tego było mu mało, za mało najwidoczniej.

– Pytam się! Jest pan kim?!

Przymierzałem odpowiedzi w głowie jak czapki, ale żadna nie pasowała, w każdej wyglądałem jak idiota, więc próbowałem strażnika rozproszyć.

– A kim jest pan? Strażnikiem pewnie?

To go замуrowało, bo był strażnikiem od buta po czapkę z daszkiem. Był strażnikiem przez paralizator, specjalną pałkę i mundur parodiujący policyjny.

– Ja tu jestem ochrona! A to teren jest chroniony, prywatny!

– Pan jesteś cała ochrona czy jeden ochrony paluch, znaczy się ochroniarz?

Posmutniał. Ciągłe groźnie stroszył brwi, ciągle dłoń opierał na pałce jak na colcie, błyski rzucał zza szkieł, ale posmutniał.

– Co pan tak? Ja na służbie jestem, obowiązki wykonuję, a jak nie do człowieka pan, żarty jakieś...

Zawstydzilem się, miał rację, to przecież ja wtargnąłem na teren, nieświadomie wprawdzie, ale jednak. Na teren chroniony, prywatny, pod jurysdykcją tego starego człowieka w mundurze z polskiej komedii.

– Przepraszam pana – mówię więc – tu nigdy nie było strażników, to opuszczone było od lat, niczyje, zielsko tu rosło zawsze, chłopaki z dziewczynami przychodzili przez butelki na gwiazdy patrzeć, przepraszam.

Rozchmurzył się nieco, służbowo, ale się rozchmurzył.

– To pan dawno nie bywał, tu od roku jest czyjeś, facetów takich, i oni wynajęli naszą firmę, żeby pilnowała, bo ogrodzenie to widzi pan jakie, z dziur i starości.

– A to nie taniej byłoby tym facetom, właścicielom, ogrodzenie naprawić?

– Może i taniej, ale co ja z tego wiem i rozumiem, to pan się domyśl, mi płacą za pilnowanie, za nocki mam półtorej stawki, to nie wpuszczam takich jak pan. I to nie wpuszczam, rozumiesz pan, żadne tam dychę, flaszkę czy że gorąca dziewczyna czeka, nie wpuszczam, bo mam płacone i obowiązek, a taki jestem, że obowiązek mus.

Rozumiem go, do składni przywykłem, gwiazdy na nas popatrują gazowo,

bezrozumnie, ciepła majowa noc, wojny na razie chyba nie będzie, więc się uśmiecham i nie pytam, czy jednak wpuści. Czy we wspomnienia da wejść i czyje one będą, moje, czy tego, za kogo przebrałem się w zapchanej smutkiem knajpie, przemaszerować te ścieżki za ogrodzeniem, policzyć te dawno zebrane flaszki i wiatrem zawiane za horyzont strzępki ubrań, kosmyki włosów, bo to zawsze coś zostało na drutach ogrodzenia albo w trawie. Nie proszę go o nic, częstuję camelem i palimy. Ja (ten z tramwaju) cywilnie, on służbowo, z drugą ręką na pałce jak na colcie.

– To dobrej nocy! – I wyciągam rękę, on swoją, ale w połowie cofa i wykonuje jakiś dziwny salut, trochę amerykański, kantem dłoni, jakby zamierzał się do ciosu karate, w świetle latarni widać, że ma ślad po obrączce, wygląda jak głębszy cień, pogrubiony.

## Kto

Martwe koty chodzą cicho. Nie zrzucają szklanek, nie drapią foteli, na nic, prócz mojego słuchu, ten jeden martwy kot nie poluje. Ale przecież wiem, że jest. To są rzeczy, które ledwo się wydarzają, jak szkice, jakby cała sprawa była z bladych cieni. Skromne syknięcia zamiast tąpnięć, jak zdjęcia oglądane przez ciemne stłuczone okulary. Tu coś zaszarzeje paskami w biegu, tam coś szurnie – akurat gdy przełączam kanały w telewizorze. Martwy kot martwym opuszką łapy przyciska każdą pewność do podłogi jak owada, niemal bez dźwięku.

Z tego się głaszcząc kanapę, upuszcza się kawałek tuńczyka na podłogę i nie ma godzinami powodu, by go sprzątnąć. Dziecinne zaklęcia ukradkowych działań, udaje się przed żoną i sobą, że to przypadek, że nic przecież, kupmy jutro dla małej buty, nagraj mi serial, herbaty? – tak, poproszę, o tym, że nikt nie miauczy, by otworzyć mu drzwi, ani słowa. A potem się jedzie po więcej na tę ulicę, gdzie mieszkaliśmy, ale prawo mówi, sylabizuje chropowato – mieszkań miejskich nie dziedziczy się po dziadkach. Tyle że nie wszyscy o tym wiedzą. Więc stoję na dole i patrzę w okna. Obcy ludzie żyją tam po swojemu i widać ich sylwetki, i to czuć, jakby ktoś pukał w kręgosłup zimnym palcem. Zmierzcha się. W mieszkaniu babci Albiny, dziadka Witolda i wujka Wariata ktoś zapala światło, ale to światło świeci nieumiejętnie, bo przecież zabraliśmy żyrandol, który był jeszcze z Pińska, i teraz wisi jakiś inny, nie ma nadtłuczonego jednego klosza, świeci, jakby nikt z moich zmarłych nie przeżył tam życia, a wie się dobrze, stojąc jak idiota na dole, że mury przyzwyczajają się do światła długo, to nowe nie może działać.

Potem ci ludzie, o których nie chcę nic wiedzieć, gaszą światło i idą spać. Teraz już wpatrywanie się w szyby jest inne. Teraz to każdy refleks latarni, cień pomarszczony wielkiej topoli, która rośnie obok, przesuwana zimnym palcem po kręgosłupie od karku do pośladków. Jacy powinni być niedowidzialni? Wujek gruby przedśmiertnie czy sprężysty z młodości, dziadek Witold odwrotnie – chudy jak w ostatnim swoim roku czy gruby ze wspomnień dziecka, brzuch, do którego tuli się dziecięca głowa, jest od niej trzy razy większy? I Albina. Młoda, jeszcze elegantka czy przestraszona staruszka, której myśli zaplątały się w suchy, kruchy węzeł?

Gdy zdaje mi się, że widzę czoło przyciśnięte do szyby i oczy, ale po chwili rozumiem, że to nie to, jestem jak surowy ojciec, który zbiera wszystkie wycinki o karierze syna, ale nigdy do niego nie dzwoni, przed sobą udaje, że tej teczki w szafie nie ma. Jestem ojcem moich zmarłych i martwię się, że błakają się wśród obcych, nie znają żadnego sprzętu ani głosu, tylko kształt mieszkania jest im znajomy. Śmieję się oczywiście z siebie, z tego stania na ulicy, przy której mieszkaliśmy, z kłamstw, które powiem żonie, gdy spyta, gdzie byłem. Ale wiecie, jaki to śmiech – odbija się od zębów i wpada z powrotem do gardła.

Sąsiad z pierwszego idzie wprost na mnie, w półmroku kiwa głową, jakby nie wiadomo czemu przytakiwał.

- Pan stąd jedzie, sąsiedzie, oni w końcu zadzwonią na policję.
- Kto? – pytam i idę do Wiatracznej.

Tam, gdzie była fabryka, jest nowy apartamentowiec z Żabką na parterze, nie mam dość śliny w ustach, by splunąć.